

TYGODNIK PRAWDA

**Cena numeru
40 gr.**

**Prenumerata z dostawą
do domu:**

miesięcznie . . . 1.35 zł.

kwartalnie . . . 4.— zł.

Konto w P.K.O. № 63.353

ŁÓDŹ

WARSZAWA

POZNAŃ

Sprawy tygodnia

MOWY SEJMOWE.

SEJM ROZPOCZĄŁ obrady nad ustawą budżetową. A ponieważ wszystko dzieje się obecnie pod hasłem racjonalizacji, wyliczono więc zgóry, że obrady plenarne nad budżetem nie mogą trwać dłużej jak 90 godzin. Każdy klub otrzymał po kilka godzin na „wygadanie się”. I zaczęło się. Pierwszy zabrał głos prof. Krzyżanowski i zreferował sejmowi cały projekt ustawy budżetowej wraz z poprawkami i zmianami poczynionymi w toku obrad komisyjnych. Drugim z kolei mówcą był prof. Bartel, który jako wicepremier i zastępca szefa rządu określił stanowisko rządu wobec zmian, jakie w projekcie budżetowym poczyniła komisja budżetowa.

mu wierzyć. Można by co najwyżej podyskutować na temat konstrukcji tej maszyny, ale to także jest temat ściśle fachowy. Należy się też spodziewać, że rząd z własnej inicjatywy postara się o autorytatywne opinie w tej sprawie, aby mogła być prowadzona taka polityka, by w miarę powiększania się zakresu działania i ilości pracy w urzędach i instytucjach państwowych, można było obchodzić się bez równoległego powiększania personelu. Powinien to tembardziej uczynić, że hasła racjonalizacji i naukowcy organizacji łatwiej się przyjmą w społeczeństwie, jeśli państwo świecić będzie przykładem.

NAJWAŻNIEJSZĄ RZECZĄ jednak, którą powiedział p. wicepremier, jest stwierdzenie, że równowaga budżetu pod żadnym warunkiem nie będzie naruszona i że w granicach przedłożonego sejmowi projektu budżetowego sprawa uregulowania poborów urzędniczych rozwiązać się nie da, że w tym celu konieczne jest powiększenie strony dochodowej budżetu. Wniosekować z tego należy, że rząd bynajmniej nie wyrzeka się swoich projektów podatkowych, odrzuconych przez sejm i że ta sprawa znajdzie się jeszcze na porządku dziennym i to może bardzo prędko.

Rząd reformy uposażeniowej odwlec ani odroczyć nie może, w tym kierunku niema żadnych możliwości, istnieją natomiast możliwości zwiększenia strony dochodowej budżetu państwowego, jasnym jest przeto, że w tą stronę skierują się dążenia rządu.

PO PRZEMÓWIENIU prof. Bartla zaczęła się seria wielkich mów. Na mównicę wysuwani są najlepsi mówcy każdej partii. — Tym razem jednak mowy sejmowe nie są w stanie obudzić głębszego zainteresowania. Te same oklepane frazesy doktrynerów, te same „ataki” na politykę rządu. Dawniej był jeszcze w tem wszystkim pieprzyk, nigdy bowiem nie można było przewidzieć, czy ta lub inna mowa nie stanie się powodem kryzysu gabinetowego — dzisiaj tego niema. Tyrady mówców odbijają się echem tylko o ściany i kopułę sali sejmowej i służą do wypełniania szpałt organów partyjnych. Mało kto interesuje się niemi. Większe zainteresowanie budzą tylko przemówienia mówców klubu rządowego, jako wybitnie polemiczne. Gdy mówcy partijni „polemizują” z rządem t. zn. wygłaszają monologi, pozostające bez odpowiedzi z tej strony, do której są adresowane, mówcy „jedynki” polemizują z przeciwnikiem konkretnym, ze swoimi sąsiadami na ławach poselskich i to wnosi życie do ich przemówień. Oni jedyni nie przemawiają „do obrazu”.

Sensacją niepowседневną było n. p. przemówienie posła Sławka. Audytorjum doznało jednak rozczarowania. P. Sławek nie jest trybunem, talentu mówcy nie posiada. Usiłował wyjaśnić rolę bloku rządowego i jego stanowisko wobec zagadnienia ustrojowego, uczynił to jednak w ten sposób, jakby przemawiał do ludzi dobrej woli i sympatycznie do reprezentowanej przez siebie ideologii nastrojonych, a nie do zawziętych przeciwników. I przemawiał także w ten sposób, jakby czynił to w zamkniętym kółku, a nie wobec galerii i przy oknach otwartych na ulicę. Dzięki temu przemówienie wypadło blade, a szersza opinia publiczna zdołała uchwycić z niego tylko tych kilka zdań, w których starał się wyjaśnić, że Marszałek Piłsudski i jego ideowi zwolennicy bynajmniej nie dają do ograniczenia praw parlamentu, a tem mniej do likwidacji parlamentaryzmu na wzór fałszywostki, lecz do naprawy ustroju parlamentarnego.

Bezporównania lepszym mówcą w zespole „jedynki” jest ks. Radziwiłł. Posiada on przedewszystkiem duży talent polemiczny. Nie polemizuje z ogólnym światopoglądem, ani z programem swoich przeciwników lecz z tem, co powiedzieli, wybierając sobie nader to najefektowniejsze zdania i ustępy ich przemówień. A te wypowiedziane twierdzenia i poglądy zbija i nicuje ze zdumiewającą zręcznością, nie unosząc się przytem, jakby go to wszystko bardzo mało obchodziło, jakby w tem wszystkim był tym trzecim, neutralnym, niezainteresowanym, który napotkawszy zaperzonego obywatela, sierdzącego się i wygrażającego pod czyjąś zamkniętą bramą, reflektuje go kilkoma słowami. Przy dużym i wszechstronnym wyrobieniu, jakim się odznacza, przy niepospolitej kulturze, ks. Radziwiłł bardzo szybko zajmie czołowe stanowisko wśród asów naszego parlamentaryzmu.

WIEKSZE ZAINTERESOWANIE wywołała także mowa posła Rybarskiego ze Związku Ludowo-Narodowego, a to z tego powodu, że mówca ten rozwinął dość szczegółowo program zmian konstytucji, formułując w wielu wypadkach w postulaty tendencje, które w praktyce od pierwszej chwili kieruje się polityka obecnego rządu. Dla przykładu wymienimy tutaj postulat p. Rybarskiego, by sejm nie mógł wyrażać wotum nieufności poszczególnym ministrom. O ile nam wiadomo i o ile się nie mylimy, partja posła Rybarskiego do niedawna była zupełnie innego zdania i już za rządu obecnego brała udział w „wyłuskiwaniu” ministrów z gabinetu.

Taktyka Z. L. N. jest doskonale obmyślana i niezwykle zręczna. Politycy tego obozu mieli widocznie sposobność przekonać się, że społeczeństwo zdaje sobie dość dobrze sprawę z tego, w jakim kierunku idzie ideologia Marszałka Piłsudskiego i że ideologię tę aprobuje. Korzystają przeto z tego, że rząd dotychczas nie sformułował szczegółowo swego programu i usiłują sami uczynić to, starając się usilnie przeniknąć niektóre intencje rządu. Przypomina to myśliwego, który w sklepie z dziczyzną kupuje upolowane przez kogo innego zajęce, wiesz na ramieniu dubeltówkę w futerale i opowiada cuda o przygodach podczas polowania.

WYBRYKI.

DZIAŁO SIĘ TO w Stanisławowie. — W myśl rozporządzenia władz szkolnych młodzież szkolna miała wziąć udział w oficjalnym obchodzie święta narodowego w dniu 3-cim maja. Uczniowie wyższych klas państwowego gimnazjum z ukraińskim językiem wykładowym w Stanisławowie, zbojkotowali zarządzenie władzy szkolnej i demonstracyjnie uchylił się od udziału w obchodzie. Dyrektor gimnazjum odpowiedział na to zamknięciem pięciu wyższych klas tego gimnazjum, a kurator okręgu szkolnego zarządzenie dyrektora zatwierdził. Posłowie ukraińscy w nagłym wniosku domagają się od ministra oświaty, aby niezwłocznie wydał polecenie dyrektora gimnazjum podjęcia nauki w tych klasach. Sejm nagłosem wniosku uchwalił.

Uczniowie dopuścili się karygodnego wybryku i spotkała ich kara zasłużona. Święto 3. Maja jest świętem państwowym na zasadzie obowiązującej ustawy. Historia tego święta nie ma w sobie nic, co mogłoby drażnić lub obrażać uczucia którejkolwiek z mniejszości narodowych — jest raczej wprost przeciwnie. Niema przeto żadnego usprawiedliwienia dla smarkaczy rozpolitykowanymi, które oficjalne święto zbojkotowali, da-

Treść numeru:

MOWY SEJMOWE. WYBRYKI. COBY SIĘ Z TĄ POLSKĄ STAŁO?	
W MIASTACH NIEMA JUŻ NIC DO OPODATKOWANIA.	K. Tyr.
PRZEGLĄD SPRAW ZAGRANICZNYCH. Bogusław Zabłocki.	
MOTOR RAKIETOWY.	St. Horwał.
AMERYKA.	Henryk Koźmian.
JAKUBOWSKI.	* * *
CO TO ZNACZY „MĄDRY CZŁOWIEK”?	Ign. Wieniewski.
OSSOLINEUM.	Zygm. Lorentz.
POCHWAŁA DRZEW.	Juljan Ejsmond.
ASPIRACJE.	T. Brudzewski.
CO MÓWIĄ CYFRY.	M. B.
SKORO ROLNIK BĘDZIE PRZEMYSŁOWCEM.	Troj.
RYNEK PIENIĘŻNY I GIEŁDA.	Awil.
LISTY Z PODRÓŻY.	Georges.
UWAGI.	
KWIATKI.	
KSIĄŻKI.	

ła im szkołę, w której w swoim ojczystym języku pobierać mogą naukę. Mamy tu do czynienia nie z manifestacją, podyktowaną uczuciami narodowymi, lecz z demonstracją o podkładzie i charakterze wybitnie antypaństwowym, mamy do czynienia z objawem rebelji, który musi być surowo ukarany.

Swego czasu, gdy we Lwowie chciano wystawić sztukę teatralną, osnutą na tle walk polsko-ukraińskich w Galicji wschodniej, zupełnie zrozumiałe było wystąpienie pewnych kół ukraińskich przeciw tym zamierzeniom. Wystawienie takiej sztuki mogłoby rzeczywiście ranić dumę narodową ukraińców. To też protesty znalazły uwzględnienie. Jest to najlepszym dowodem, że rząd polski daleki jest od krzywdzenia mniejszości ukraińskiej w jej uczuciach narodowych. Ma jednak prawo i musi wymagać od niej lojalności w stosunku do państwa polskiego, a zdanie od młodzieży szkolnej, by wzięła udział w obchodzie oficjalnego święta państwowego, niebędącego rocznicą żadnego obojętnego zwycięstwa, lecz rocznicą zwycięstwa idei demokratycznej mieści się w granicach najelementarniejszych obowiązków lojalności.

Pos. Rudnicka, która nagłosem tego wniosku na plenum sejmowym uzasadniała, przypomniała martyrologię dzieci polskich pod zaborem pruskim i na ich bohaterską walkę o język ojczysty. P. Rudnicka dopuściła się przez to profanacji tych wzruszających i drogie każdemu polskiemu sercu wspomnień. Smarkaczem z ukraińskiego gimnazjum w Stanisławowie nikt nie odbierał języka ojczystego, przeciwnie państwo polskie swoim sumptem utrzymuje dla nich szkołę, prowadzoną w ich ojczystym języku. Sądźmy też, że na ziemiach polskich nigdy nie zdarzy się, by policja zabroniła dziecku modlić się w języku matki. Musi zato wymagać, aby uczniowie tej szkoły respektowali święta państwowe, tak przynajmniej jak respektowali każde urodziny i imieniny cesarza austriackiego i członków jego rodziny.

Będzie wielkim błędem, jeśli sejm polski wniosek ukraiński, podyktowany tak jaskrawymi dążeniami separatystycznymi i tchnący taką nienawiścią i bojkotem państwa polskiego, uchwali. Klasy ukraińskiego gimnazjum w Stanisławowie, które pozwoliły sobie na ten wybryk, powinny pozostać zlikwidowane, a nauczyciele zwolnieni. Restytucja klas powinna następować stopniowo w miarę przesuwania się uczniów klas niższych w górę. Uczniowie klas zwiniętych mogą co najwyżej kończyć swoje studia w gimnazjach z polskim językiem wykładowym.

COBY SIĘ Z TĄ POLSKĄ STAŁO?

PYTANIE TAKIE nasuwać się musi każdemu, kto ma czas i ochotę czytać sprawozdania z prac sejm, wnioski różnych posłów przemówienia w komisjach, interpelacje i t.p. Co mianowicie stałoby się z Polską, gdyby nie było człowieka, który sprawił, że wszystkie te życzenia, jakim daje się wyraz w sejmie, że wszystkie te poglądy, które tam się wypowiada, pozostają tylko pustym dźwię-

Z PRZYTOCZONYCH przez p. wicepremiera cyfr statystycznych wynika, że w ostatnich kilku latach w wielu gałęziach gospodarki państwowej zaznacza się stały wzrost agend, jako zupełnie naturalna konsekwencja rozwoju życia gospodarczego. I tak n. p. koleje państwowe mają obecnie do pokonania ruch o 50 proc. większy, niż w r. 1925, a pracowników o około 5 procent mniej, podobnie ma się rzecz na poczcie, a w monopoliach zwiększające się z roku na rok obroty wymagają stalego zwiększania personelu. W samej administracji państwowej ilość urzędników została wydatnie zredukowana.

Jak wspomnieliśmy sprawa urzędnicza pod wieloma względami wchodzi w zakres techniki administrowania państwem. Na tej technice w chwili obecnej prof. Bartel niezawodnie zna się w Polsce najlepiej i opinję jego należy w tym wypadku traktować jako opinję rzeczoznawcy. Jeżeli przeto prof. Bartel sądzi, że maszyna państwowa w dzisiejszym stanie i przy dzisiejszych metodach jej pracy wymaga bezwzględnie całej obecnie istniejącej załogi pracowniczej, to trzeba

CZYNNIKI POLITYKI PAŃSTWOWEJ

SPRAWY SPOŁECZNE — GOSPODARCZE —
POLITYKA WEWNĘTRZNA I ZAGRANICZNA

kiem, że ci ludzie, którzy te wszystkie rzeczy mówią, nie mają możliwości ani odwagi cośkolwiek dla realizacji ich przedsięwzięć.

Jest wprost nie do wiary, ile w naszym własnym polskim społeczeństwie jest prądów i tendencji antypaństwowych, ile w naszym własnym społeczeństwie jest rąk, gotowych „parcelować” Rzeczpospolitą, rozdrapywać te ostatnie nędzne resztki bogactw jakie uratowała z rąk zaborców i z zawieruchy wojennej, gasić ostatnie iskielki jej sił żywotnych.

Odbywa się n. p. w sejmowej komisji spraw zagranicznych dyskusja nad oświadczeniem ministra spraw zagranicznych. Można jeszcze zrozumieć, że posłowie mniejszościowi wspominają o rewizji granic, oczywiście na korzyść tych sąsiadów, u których są ich sympatie — chociaż usprawiedliwić to trudno, ale przerażenie musi ogarnąć człowieka nawet najmniej zdolnego do państwowego myślenia, gdy się słyszy jak posłowie polacy mówią o rewizji granic.

Taki n. p. poseł Dąbski ze Stronnictwa Chłopskiego mówi, że należałoby kwestję granicy polsko-rosyjskiej pozostawić do wspólnej decyzji chłopów polskich i ukraińskich, którzy w tej materii bardzo łatwo dojdą ze sobą do porozumienia.

I wyobraźmy sobie teraz, że żyjemy jeszcze w okresie wszechwładzy sejmu, że na trybunę parlamentarną nie pada żaden cień, przed którym nawet najbezczelniejsi wicherzyciele tracą rezon. Coby się to działo? Wolno nawet przypuszczać, że wówczas w sejmie polskim więcej i głośniej mówiłoby się o rewizji granic Rzeczypospolitej niż w prasie najbardziej nam niechętnych i najbardziej w tej sprawie zainteresowanych sąsiadów. Nie chcemy wierzyć, że chłop polski szybko i łatwo porozumiałby się z chłopem ukraińskim co do tego, czy granica polska na wschodzie bieć ma przez Lwów czy Przemyśl, ale poseł Dąbski stara się nas przekonać, że on i jego stronnictwo, bardzo łatwo porozumiałoby się w tej sprawie z p. Dymitrem Lewickim, prezesem klubu ukraińskiego i jego klubem.

Na innym miejscu piszemy, jak w Sejmie Rzeczypospolitej usiłuje się usprawiedliwić, a nawet otoczyć nimbem bohaterstwa próbę sztubaków ostentacyjnego zbojkotowania oficjalnego święta państwowego i podeptania najprymitywniejszych obowiązków lojalności obywatelskiej.

Gdzieindziej znowu ktoś inny staje w obronie notorycznych agentów obcego państwa, którym w najbardziej przekonywujący sposób dowiedziono, że za pieniądze tego mocarstwa prowadzili akcję wicherzycielską, mającą na celu wywołanie powstania i oderwania części terytorjum Rzeczypospolitej, i także oświadcza, że „my łatwo i bez represji deszlibyśmy z nimi do porozumienia”.

Jakimże bez porównania silniej rozwiniętym instynktem państwowym odznaczał się najskrajniejszy rewolucjonista rosyjski. Gotowi byli nawet z djabłem się sprzymierzać przeciw rządowi carskim, ale ten djabł musiał być djabłem rosyjskim. Z separatyzmami bardzo szybko się załatwiali i bardzo energicznie od nich się uwalniali.

Nie wspominamy już o dążeniach i prądach natury gospodarczej i społecznej. Tutaj nawet najbardziej wrogie państwu tendencje, najbardziej z interesam państwa sprzeczne poglądy pokryć można „ideologią” i doktryną. A doktryna na interes państwowy oglądać się nie potrzebuje, bo ujawnia się tylko w postaci przekonań, a nie dążeń i metod praktycznych. Tylko że w społeczeństwie tak słabo wyrobionem państwowo jak nasze, przy rozwiniętym do ostatecznych granic parlamentarystki przekonania bardzo łatwo zamienić można na dążenie praktyczne.

Poseł ks. Radziwiłł w ostatnim swoim przemówieniu, nawiązując do coraz bardziej powszechnego w sejmie wołania o likwidację obecnego systemu rządzenia państwem i przywrócenia niczem nieuszczerplonej demokracji parlamentarnej, zaklinał sejm, aby nie wstępował w ślady dawnej demokracji szlacheckiej, która przekreśliła wszystkie wysiłki Batorego, aby wzmożnić władzę królewską, bo musiałoby to doprowadzić do takiego samego własnymi polakami rękami pogrzebania niepodległości ojczyzny, jak to się stało z dawną Rzeczpospolitą.

Mości księżę — takich, którzy do sejmów apelowali, było już wielu. Nawet Skarga to czyni, a Rejtan kładł się na progu sali sejmowej i nic nie pomogło. Szkoda trudu. Trzeba zmienić taktykę i apelować... do Batorego.

W miastach niema już nic do opodatkowania

OPÓR WSI PRZECIW REFORMIE PODATKOWEJ GRZEBIE PARLAMENTARYZM W POLSCE.

Odrzucenie przez sejm dwóch projektów podatkowych, idących w kierunku pociągnięcia wsi do wydatniejszego współdziałania w ponoszeniu kosztów własnej państwowości oraz okoliczności, jakie towarzyszyły tej sprawie i postawa, jaką zajęły stronnictwa ludowe, nakazują uprzytomnić sobie, że na drodze konstytucyjnej, t. j. w trybie parlamentarnym pod żadnym warunkiem nie uda się przeprowadzić reformy naszego ustroju podatkowego, która przewidziana jest w planie stabilizacyjnym. Obok stronnictw ludowych przeciw wszelkiej reformie ustawodawstwa podatkowego opowiedzą się t. zw. słowiańskie mniejszości, t. j. ukraińcy i białorusini, jako reprezentanci elementu wiejskiego oraz socjaliści, którzy widzą dla siebie ostatnio znacznie większe szanse polityczne na wsi niż w miastach. A z drugiej strony żaden geniusz finansowy nie wymyśli w naszych warunkach takiej reformy ustawodawstwa podatkowego, któraby zwiększyła dochody skarbu państwa do niezbędniejszych granic, nie dotykając przytem w niczym wsi.

A reforma ustroju podatkowego staje się z dnia na dzień coraz bardziej palącą koniecznością. Długo już odwlekać jej nie będzie można. Będzie szczęśliwie, jeżeli budżet tegoroczny będzie mógł być zrealizowany według przewidywań, jeżeli dopiszą w pełnej wysokości wpływy z podatku przemysłowego i dochodowego. Takie zastrzeżenie może się wydać niezrozumiałym na szpaltach, na których nie pomija się nigdy sposobność, aby nie podkreślić znacznej i systematycznej poprawy położenia gospodarczego, zwłaszcza w dziedzinie produkcji przemysłowej i handlu. Lecz jedno drugiemu nie przeszkadza, a raczej zmniejszenie się siły podatkowej, zwłaszcza handlu, jest zupełnie naturalnym wynikiem poprawy sytuacji gospodarczej. Handel nasz dopiero teraz, w miarę normalizowania się i utrwalania stosunków gospodarczych w państwie, zaczyna spełniać właściwą sobie rolę. Kupiec teraz dopiero zaczyna być kupcem i staje wobec specyficznych swoich funkcji w życiu gospodarczym. Do niedawna bowiem niestabilizowane stosunki walutowe i chaos w stosunkach produkcyjnych czyniły z niego mimowolnego spekulanta. Właściwy handel był kupca funkcją drugorzędną, a na pierwszy plan wysuwała się spekulacja na kursie waluty, na cennikach fabrycznych, stawkach celnych, i t. p. Handel był tylko pretekstem, był niejako kluczem, który otwierał drogę i drzwi do czynności całkiem innych. Inaczej być nie mogło w tych warunkach i tego szeroko udowodnić nie potrzeba. To też ciężary podatkowe, nakładane wówczas na miasta, handlu ani produkcji przemysłowej właściwie nie obciążały i były przyjmowane raczej jako opodatkowanie zysków i obrotów, które osiągało się nietylko z handlu lub produkcji przemysłowej, ile dlatego, że się było kupcem, względnie przemysłowcem. To też wówczas nietylko, że nie słyszeliśmy poważniejszych zastrzeżeń i protestów przeciwko takiej wyłączenie przeciw miastom skierowanej polityce fiskalnej, ale obserwowaliśmy nie raz nawet współdziałanie sfer handlowo-przemysłowych przy wydatniejszym opodatkowaniu własnych obrotów. Pierwszy np. podatek obrotowy wprowadzony został w Łodzi jako podatek komunalny, przyczem łódzkie sfery przemysłowe z całą gorliwością pomagały miastu w zorganizowaniu i intensywnym ściąganiu tego podatku.

Stosunki te dzięki stabilizacji gospodarczej, a więc dzięki radykalnej poprawie, gruntownie się zmieniły. Kupiec jest dzisiaj tylko kupcem, którego funkcją jest sprzedawanie towarów konsumentowi a obowiązkiem i warunkiem egzystencji naginanie się i dostosowywanie do wymagań, życzeń i możliwości finansowych tego konsumenta. Tak samo przemysłowiec jest dzisiaj tylko producentem towaru, zależnym tylko od stanu i siły nabywczej rynku a nie od kursu waluty i innych okoliczności, niewiele mających wspólnego z produkcją.

Do handlu potrzebny jest kapitał. Prowadzenie handlu bez kapitału jest tańcem na krawędzi bankructwa albo nawet kodeksu karnego. Kto bierze się do handlu w normalnych warunkach powinien mieć tyle kapitału, by nabyć zań towar, który chce sprzedać. Na kredyt kupuje się dopiero wtedy, jeśli się część zakupionego za gotówkę towaru sprzedało konsumentowi także na kredyt, czyli na kredyt uzupełnia się swój skład, jeżeli został on częściowo opróżniony przez sprzedaż na kredyt. Jednym słowem jeżeli handel ma być zdrowym, jeżeli ma z pożytkiem spełniać swoją funkcję gospodarczą, to powinien u kupca istnieć naogół taki stan rzeczy, że wartość składu i magazynu jest jego własnym kapitałem, na długi zaś powinien być wystarczające pokrycie w wierzytelnościach. Zasada ta może mieć w praktyce najróżniejsze warjanty zależnie od rodzaju handlu, jaki dany kupiec prowadzi. W każdym razie w przedsiębiorstwie handlowym powinien tkwić kapitał, pozostający w pewnym stosunku do czynionych obrotów. Jeżeli takiego kapitału niema, to właściciel takiego przedsiębiorstwa nie jest kupcem, lecz faktorem, który osobiście nie nie ryzykuje, nikt mu nie bez poręki nie zawiera a wynagradza się go tylko za fatygę.

A jak wygląda nasz handel? Wojna zjadła prawie cały kapitał naszego handlu. Zjadł go rekwizycje, zniszczył wśród działań wojennych, zjadł go często sam kupiec z rodziną, nie mogąc z tych czy innych względów w czasie wojny prowadzić swego przedsiębiorstwa. Potem przyszła inflacja, która ma to do siebie, że obala prawie wszystkie prawa ekonomiczne. Obalila także i zasadę, że do prowadzenia handlu potrzebny jest kapitał. Towar wszelki z powodu ucieczki od papierowego pieniądza był tak poszukiwany, że kupiec zawsze zgóry mógł być pewny, że każdej chwili sprzeda posiadany towar. Korzystając z dawnych stosunków, zwracał się do producenta i kupował towar bez gotówki lub za gotówkę pożyczoną. Był zobowiązany, że zanim nadejdzie dzień płatności zobowiązania, towar dawno będzie sprzedany i to z sutym zarobkiem. Nie wymagało to żadnego trudu i nabywcy nie było trzeba szukać. W tych warunkach do handlu wzięli się nietylko wszyscy zawodowi kupcy, ale napłynęła cała armia nowych ludzi, których jedynym kapitałem było trochę sprytu, jakie takie stosunki i znajomości w sferach producentów i jakiś kał. To wystarczało najzupełniej. Gorączkowe tempo obrotów, gwałtowne poszukiwanie wszelkiego rodzaju towaru wzamian za gotówkę gwarantowały zgóry wypłacalność każdego takiego kupca. Nawet złośliwość i nieuczciwość się nie opłać, gdyż handel był jednym pasmem łatwych zarobków i byłoby już szaleństwem, by dla jednorazowej korzyści wyżyć się możliwości trwałego czerpania z tej obfitości żyły.

Zaczęła się dzięki temu powoli regeneracja kapitału handlowego. Składy i magazyny kupieckie napełniały się powoli zapasami towaru, zaoszczędzonego przy obrotach, stanowiącego zarobek kupca. Tego zarobku z

reguły na gotówkę nie wymieniano, gdyż stał on najlepszą w owych warunkach lokatą. Nadszedł jednak okres gwałtownych eksperymentów stabilizacyjnych i radykalnej mobilizacji środków, potrzebnych państwu na sfinansowanie stabilizacji. Mobilizacja ta przeprowadzona została wyłącznie prawie w miastach i ogołociła kupiectwo z całego doboru inflacyjnego. Reszty dokonał kryzys stabilizacyjny, który pociągnął za sobą katastrofalny spadek wartości towarów i fantazyjny wzrost wartości gotowego pieniądza. Po przejściu armii urzędników skarbowych, egzekwujących raty podatku majątkowego, handel nasz znalazł się w tej samej sytuacji, w jakiej był pod koniec wojny t. zn. bez kapitału.

Od tego czasu nic się nie zmieniło. Ciężary podatkowe uniemożliwiają nową regenerację kapitału handlowego i kupiec nasz jest w rzeczywistości tylko faktorem. Z reguły prawie nic z tego, co posiada na składzie nie jest jego własnością; wszystko wzięte jest u producenta na kredyt. A ponieważ konsument jest również finansowo słaby, kupiec musi czynić mu jaknajdalej idące ułatwienia, aby wogóle zachęcić go do kupna. Kupiec jest faktorem z tą tylko wysoce niekorzystną a nawet niebezpieczną różnicą, że producent musi zawierać mu towar, wiedząc zgóry o tem, że należytość zań otrzyma tylko wówczas, jeśli spożywcza, któremu kupiec od siebie na kredyt sprzedał towar, uiszczy się z długu i jeżeli cena, jaką osiągnie kupiec, wystarczy, aby pokryć koszt utrzymania kupca i jego rodziny, kosztu handlowego i ciężary podatkowe.

Cały nasz handel oparty jest przeto wyłącznie prawie na zaufaniu. Realnych i praktycznych gwarancji prawie żaden z kupców dać nie jest w stanie. W takich warunkach, ciężary podatkowe, oparte w dodatku nie na realnych, lecz na pozorych podstawach, stanowią moment trwałego niebezpieczeństwa. Skarb bowiem nie zabiera kupcowi części jego zarobku, lecz z reguły pieniądze, które nie stanowią jeszcze jego własności, bo są własnością producenta, który zawierzył mu towar.

U producenta sytuacja o tyle jest lepsza, że warsztaty i narzędzia produkcji stanowią przeważnie jego własny kapitał. Uratował ten kapitał dlatego tylko, że na szczęście maszyny i kominów fabrycznych nie można było sprzedać z licytacji na podatek majątkowy — ale zato cały proces produkcji opiera się o kupca, nie dającego żadnej gwarancji wypłacalności, o kupca, którego uczciwość i solidność także bez zastrzeżeń nie może być przyjmowana jako gwarancja, gdyż każdej chwili fiskus może uniemożliwić mu wypełnienie zobowiązań. Trzeba chyba przyznać, że na takich podstawach produkcja długo opierać się nie może i że stale w tych warunkach balansujemy nad przepaścią, że lada energiczniejsze wystąpienie władz skarbowych albo jakaś inna nieprzewidziana przyczyna może nam na kark sprowadzić falę bankructw, która zabije siłę podatkową całych gałęzi gospodarczych, może wywołać panikę wśród wierzycieli zagranicznych i spowodować masowe wypowiedzanie kredytów itp.

A tutaj równocześnie konsument, domaga się towaru, ale zapłacić zań nie może jeszcze dzisiaj, ma natomiast uzasadnioną nadzieję, że po kilku miesiącach będzie już w stanie zapłacić. To też gotówkowe transakcje stanowią nic nieznaczący ułamek obrotów — weksel pojawia się nawet w handlu detalicznym artykułów pierwszej potrzeby, nawet jako środek płatniczy między pracodawcą i pracownicą.

Cóż dziwnego, że w tych warunkach coraz głośniej rozlega się krzyk i wołanie o zła godzenie nacisku podatkowego na producenta przemysłowego, a zwłaszcza na kupca. I trzeba z całym naciskiem stwierdzić, że od tego, w jaki sposób państwo ustosunkuje się do tego wołania, zależy nasza sytuacja gospodarcza w najbliższej przyszłości.

Reforma podatkowa staje się koniecznością, staje się najbardziej palącym zagadnieniem wewnętrznego polityki naszego państwa. A ponieważ w żaden sposób nie da się jej przeprowadzić tak, aby całym ciężarem spadła znowu na barki handlu i produkcji przemysłowej, ponieważ niema sposobu oszczędzenia wsi tak bardzo niemifego dla niej obowiązku wydatniejszego przyczyniania się do ponoszenia wydatków państwowych, na drodze parlamentarnej reformy tej przeprowadzić nie będzie można. Przyjdzie więc zapewne zrezygnować z tej drogi. K. Tyr.

Sprzedaz Kopalni

„Łagisza” pow. Będzin: około jedenastu milionów tonn zapasu węgla, 55 morgów gruntów, 49 budynków, obszar koncesji około 650 morgów. Licytacja w II terminie odbędzie się w d. 9 czerwca r. b. o godz. 10 rano przed Sądem Okręgowym w Warszawie, kaucja 180.000 zł. Szczegóły w aktach komornika J. Brodzkiego Warszawa, Ogrodowa 60, lub u Syndyka ostatecznego masy upadłości adw. W. Kozielskiego w Sosnowcu.

Przegląd spraw zagranicznych

Konstytucja litewska. — Proces spiskowców donieckich.

Konstytucja litewska w nowym wydaniu, ogłoszona z okazji dziesięciolecia ogłoszenia niepodległości państwa litewskiego, stwierdza, że stolicą Litwy jest Wilno. Kowno jest tylko stolicą tymczasową, na stałe stolicą państwa mogłoby zostać Kowno lub inne miasto litewskie tylko przez odpowiednią zmianę konstytucji.

Ogłoszenie tej konstytucji wywołało bardzo silne wrażenie nie tylko w Polsce, przeciw której wymierzony jest ów piąty artykuł, mówiący o Wilnie jako stolicy państwa litewskiego, ale także we wszystkich innych państwach Europy, których opinia publiczna słusznie dopatruje się w tym wystąpieniu źródła nowych nieporozumień pomiędzy Polską a Litwą i przekreślenia rezolucji genewskiej w sprawie nawiazania sąsiedzkich stosunków pomiędzy tymi państwami, rezolucji, do której p. Woldemaras zobowiązał się zastosować. Trudno bowiem wyobrazić sobie, aby rokowania polsko-litewskie mogły doprowadzić do podjęcia zupełnie normalnych stosunków sąsiedzkich, gdy w akcie ustrojowym Litwy, którego zmiana leży poza granicą możliwości, osiągalnych w rokowaniach, figuruje uroczyste stwierdzenie, że Wilno jest stolicą państwa litewskiego.

Niewiadomo narazie, czy i jak poradził sobie p. Woldemaras z mocarstwami, reprezentowanymi w Radzie Ambasadorów, która to instytucja przyznała Wilno Polsce, niebawem pewnie dowiemy się czegoś w tej sprawie. Ostatnia jego podróż do Londynu, w przeddzień ogłoszenia nowej konstytucji, poświęcona była zapewne decyzji Rady Ambasadorów w sprawie wileńskiej. P. Woldemaras wrócił z tej podróży dość pewny siebie i w wyturzeniach swoich jest najlepszej myśli.

Nowa konstytucja litewska stwarza w sprawie polsko-litewskiej zupełnie nowy stan rzeczy. W tej chwili trudno zdać sobie sprawę, jakie stąd wynikną konsekwencje.

W każdym razie stanowisko Ligi Narodów w sporze polsko-litewskim będzie według wszelkiego prawdopodobieństwa inne niż dotychczas. Sprawa wileńska przedstawiana będzie odąd przez delegatów Litwy, jako sprawa wewnętrzna państwa litewskiego, związana ściśle z konstytucją i ustrojem tego państwa, a nie jako przedmiot sporu międzynarodowego, co do którego Liga Narodów mogłaby wyrażać swoją opinię i swój sąd.

Tem się też tłumaczy, że sprawa ta w prasie polskiej nie wywołała tak głębokiego echa, na jakie zasługuje. Znajdzie się ona jednak na porządku dziennym opinii polskiej przy pierwszej okazji międzynarodowej, a najprawdopodobniej już w czasie najbliższej, czerwcowej, sesji Rady Ligi Narodów.

Taktyka p. Woldemarasa w stosunku do Polski, a w sprawie wileńskiej w szczególności, może się rzeczywiście wydawać szaloną i nieodpowiedzialną, może rzeczywiście zmuszać polityków do stawiania sobie pytania: „Czego ten człowiek chce — do czego dąży?” Bo przecież szaleństwem byłoby igranie z niebezpieczeństwem wywołania konfliktu wojennego teraz, gdy cała Europa, nie wyłączając Sowietów, pragnie za wszelką cenę utrzymania pokoju. Od takiego, do szaleństwa lekkomyślnego, polityka odwrócić musiałaby się cała opinia europejska. P. Woldemaras niewątpliwie zdaje sobie sprawę z tego i jeżeli obrał drogę ryzykownych i szalonych eksperymentów, to jest w tym metoda i to szaleństwo jest — być może — dobrze przemyślaną taktyką polityczną. Być może, że swoją szaloną polityką p. Woldemaras zamierza terroryzować Europę, licząc na to, że w obecnych warunkach Europa, reprezentowana przez Ligę Narodów nie jest jeszcze zdolna do tego, by szaleńcowi nałożyć kaftan bezpieczeństwa i w krótkiej drodze się z nim załatwić a już poczuwa się do obowiązku czuwania nad bezpieczeństwem i pokojem. Nie mogąc więc użyć środków radykalnych, będzie tem gorliwiej stosowała środki łagodne — nie mogąc obezwładnić,

tem gorliwiej będzie chciała udobruchać i ułagodzić.

Jeżeli takie jest rozumowanie p. Woldemarasa, to nie można mu odmówić dużej dozy bystrości i przenikliwości. Oficjalna polityka państw europejskich przecenia siłę i wpływ instytucji Ligi Narodów, respektuje ją tak, jak w czasie dewaluacji niektóre państwa respektowały swoją walutę, utrzymując kosztem wielkich ofiar, szkód i strat na oficjalnej cenie giełdowej kurs jej na poziomie złota, chociaż dawno przestała mieć cośkolwiek wspólnego z dawną walutą złotą. P. Woldemaras sądzi widocznie, że mocarstwa europejskie o wiele łatwiej zdecydują się nawet na stratę, niż na zachwianie autorytetu Ligi, że będą gotowe raczej sporo zapłacić, byle tylko nie dopuścić do publicznego zademonstrowania impotencji tej instytucji, która tak wysoki kurs otrzymała od Wilsona. P. Woldemaras liczy przytem zapewne także i na to, że mocarstwa tem chętniej to uczynią, że same rozporządzają takimi wpływami, aby komuś kazać zapłacić rachunek kosztów interwencji na rzecz kursu prestiżowego Ligi Narodów.

Jest więc w tem szaleństwie p. Woldemarasa niewątpliwie dobrze zamysłana metoda. Tem trudniejsze jest zadanie polskiej polityki zagranicznej w związku z tą sprawą. Miejmy nadzieję, że zadaniu temu sprosta.

Pozatem nowa konstytucja litewska likwiduje na szereg lat ustrój parlamentarny, wprowadzając dyktaturę Prezydenta Republiki. Rząd odpowiedzialny jest tylko przed Prezydentem a parlament schodzi do roli ciała doradczego o ściśle określonych kompetencjach i funkcjach.

W ten sposób zamach stanu, jakiego dokonał w swoim czasie p. Woldemaras, obejmując władzę dyktatorską na Litwie i rozpędzając sejm, otrzymał swój ostateczny wyraz w nowej formie ustrojowej. Litwa Kowieńska powiększyła grono państw europejskich, które zerwały z parlamentarną demokracją.

W Moskwie toczy się olbrzymi proces przeciw grupie inżynierów i techników za-

trudnionych w kopalniach węgla zagłębia donieckiego, a oskarżonych o działalność na szkodę państwa sowieckiego. W jednym z poprzednich numerów podaliśmy najważniejsze szczegóły aktu oskarżenia w tej sprawie. Prokurator zarzuca oskarżonym, że wspólnie tworzyli organizację sabotażową, której celem było zdezorganizowanie produkcji węgla w kopalniach donieckich. Według aktu oskarżenia spiskowcy mieli dwa cele na oku: jednym była chęć doprowadzenia kopalni do takiego stanu, aby rząd sowiecki zrezygnował z eksploatacji ich w własnym zarządzie i zwrócił je dawnym właścicielom, a drugim miało być wykonywanie poleceń rządów państw obcych, zainteresowanych w losach i rezultatach sowieckiej polityki gospodarczej.

Większość oskarżonych przyznaje się do winy i szczegółowo zeznaje, jakie były kulisy całej tej sabotażowej akcji, kto nią kierował, w czym interesie była prowadzona, za czyje pieniądze i jakimi posługiwała się osobami i środkami. Ta gorliwość w zeznaniach oskarżonych jest zdumiewająca i w swoim rodzaju bezprzykładna. Nikt tam nawet bronić się nie usiłuje. Zaledwie kilku oskarżonych (dotychczas dwóch) na tak wielu, katorycznie zaprzeczających oskarżeniom a zeznania współoskarżonych piętnuje jako kłamstwa, niewiadomo w jakim celu rzucane.

Zdumiewająca jest również gorliwość, z jaką rząd sowiecki pragnie wyzyskać ten olbrzymi proces do celów propagandy. Na stole sędziowskim i w kilku miesiącach sali sądowej zainstalowano mikrofony radjowe, połączone prawie z wszystkimi radiostacjami rosyjskimi tak, że cała Rosja i pół Europy może śledzić przebieg procesu. W odpowiednich rozmiarach idzie także akcja prasowa.

Wszystko to razem zakrawa na jakiś teatr — niewiadomo tylko jeszcze dla kogo przedstawienie to zostało wyreżyserowane. Z tem większym zaciekawieniem oczekiwanym jest wyrok, który zadecyduje o losie tak zdumiewająco gorliwie do winy przyznających się oskarżonych.

Bożusław Zabłocki.

GAWĘDY

Motor raketowy Sandera

Europa — New-Jork: 2 godziny

Mówiłem już tutaj o samochodzie raketowym, zbudowanym w fabryce samochodów Adama Opel w Rüsselsheim, w Niemczech, i o projekcie budowy samolotu raketowego. Wracam raz jeszcze do tego tematu, gdyż w międzyczasie odbyła się pierwsza publiczna próba jazdy samochodem raketowym i do wiadomości publicznej przedostało się wiele niezmiernie interesujących szczegółów, dotyczących tego wynalazku oraz zamiarów, jakie przysiewcają wynalazcom.

Poznajmy najpierw ludzi, którzy pracują nad problemem motoru raketowego i wyszkaniem możliwości, które stwarza to nowe źródło energii: Jako pierwszego wymienić należy astronoma niemieckiego Maxa Valiera. Jest to wybitny uczyony a przytem umysł praktyczny. Od szeregu lat zajmuje się kwestją komunikacji międzyplanetarnej i szukaniem sposobów rozwiązania tego problemu. Drugim jest inżynier Sander, specjalista w technice wybuchowej i pyrotechniki. Sander jest twórcą motoru raketowego, jeżeli baterję raket można nazwać motorem. Wynalazł on mieszaninę wybuchową o dużej sile, posiadającą przytem zalety tego rodzaju, że można jej użyć do napędu. Trzecim jest Fritz von Opel jeden z kilku braci, właścicieli największej niemieckiej fabryki samochodów p. Fel. „Adam Opel” w Rüsselsheim. Fritz von Opel skonstruował pierwszy samochód, do którego dało się zastosować motor raketowy Sandera i który pierwszą próbę zwycięsko wytrzymał. Czwartym wreszcie jest Kurt E. Volkhart, inżynier fabryki Opela, który zdecydował się prowadzić pierwszy raketowy samochód i wyszedł zwycięsko z tej próby. A teraz, gdy znamy już ludzi, uprzytomnijmy sobie historję tego wynalazku, który posiada wszelkie dane, że stanie się epokowym w dziedzinie komunikacji, tak jak epokowym stał się pierwszy motor wybuchowy, jak epokową stała się pierwsza maszyna parowa.

Przez długi czas źródłem wszelkiej energii mechanicznej była siła ludzka, względnie siła zwierzęca. Pozatem ludzkość wyzyski-

wała tylko w bardzo ograniczonych rozmiarach siłę wodną i siłę wiatru. Siłą pociągową, źródłem energii komunikacyjnej, był koń. Trwało to do czasu zbudowania pierwszej lokomotywy. Lokomotywa doprowadza na do najwyższego udoskonalenia pozwoliła zmniejszyć wagę jednego konia do jednej dwudziestej części, czyli, że maszyna parowa o sile dwudziestu koni waży mniej więcej tyle, ile dobrze rozwinięty koń pociągowy. Dzięki temu stało się możliwym osiągnięcie szybkości, których dawniej w żadnych warunkach osiągnąć nie było można. Następnym etapem był motor wybuchowy. Dzięki wynalazkowi tego motoru udało się znowu mniej więcej do jednej dwudziestej części zredukować wagę konia parowego. Motor benzynowy, dający siłę stu koni waży tyle, ile waży maszyna parowa, rozwijająca siłę pięciu koni. Odpowiednio też powiększyła się granica szybkości, jaką przy pomocy takich motorów można osiągnąć, dzięki czemu człowiek przy pomocy siły motoru potrafił już oderwać się od ziemi i wzbić się w powietrze. W miarę udoskonalania motoru wybuchowego człowiek potrafił opanować warstwą atmosfery otaczającej ziemię do wysokości około 10 kilometrów ponad poziom morza. Wyżej jeszcze wzbić potrafił się wprawdzie, ale w tych wyższych strefach atmosfery długo utrzymywać się nie potrafił. W stosunku do swej siły motor benzynowy jest jeszcze za ciężki, aby mógł sam unosić się i dźwigać jeszcze ciężary w rozrzedzonym powietrzu. Drogą udoskonalenia i ulepszeń w motorze niewiele już da się w tym kierunku osiągnąć. Dochodzimy bowiem zawsze do pewnej granicy, do pewnego muru, którego przy użyciu dotychczasowych środków przekroczyć niepodobna. Tym murem i tą granicą jest gęstość powietrza. Jeżeli na pewnej wysokości gęstość powietrza spada poniżej granicy, przy której z największą szybkością obracające się śmigło motoru znajduje dostateczny opór, aby, odbijając się od powietrza, mogło ciągnąć za sobą samolot, o locie mowy być nie może — śmigło przestaje ciągnąć, obraca się w próżni, tak jak polska lokomotywa na noliwionych szynach lub koła samochodu na lodzie lub w miarkim piasku.

nach lub koła samochodu na lodzie lub w miarkim piasku.

Trzeba przeto pomyśleć o wynalezieniu nowego źródła energii, które byłoby niezależne od gęstości a nawet od istnienia powietrza, któreby bez opierania się o powietrze, bez odbijania się od powietrza, posuwała naprzód ciężar. Jednym słowem trzeba przejść od zasady ciągnięcia, od zasady siły pociągowej, do zasady siły pchającej, którąby w oparciu się o ciężar, który ma pchać naprzód, o ciężar, który ma być poruszony, a nie o powietrze, miała możliwość rozwinięcia swojej mocy i energii.

W tym kierunku zwrócić się też poszukiwania. Umysł ludzki powracał zawsze do tego rozwiązania, jakie wskazuje nam broń palna. Przecież pocisk armatniego nie ciągnie żaden motor, a jednak leci w powietrzu z niedoścignioną szybkością, przyczem szybkość ta zwiększa się w miarę wysokości lotu, w miarę zmniejszania się oporu, jaki stawia lecącemu pociskowi powietrze.

Zobaczymy w jaki sposób wprowadzony zostaje w ruch pocisk: Umieszcza się go w lufie tak ciasnej, że tylko przy użyciu wielkiej siły może być wypchny na zewnątrz. Zamknięty w ciasnej lufie pocisk stanowi oparcie dla siły, jaką wytwarza wybuchający proch. Siła ta, opierając się o pocisk, przepycha go przez lufę i wyrzuca w powietrze. Gdy ta siła przestaje działać, pocisk spada na ziemię, nie mogąc zwałczyć oporu powietrza. Motorem w tym wypadku jest więc nabój z prochem. Motor ten ma jednak tę ogromną wadę, że nie może być połączony z pociskiem i działać stale. Z chwilą opuszczenia lufy, pocisk odłączony zostaje od motoru i posiada tylko ten zapas siły, jaki otrzymał na drogę. Gdy opór powietrza wyczerpie ten zapas, pocisk spada na ziemię.

Pierwsze więc poszukiwania szły w tym kierunku, aby w nieskończoność powiększać siłę tego motoru, aby stosować materiały wybuchowe o niebywalej sile, któreby z taką siłą wyrzucały pociski, by mogły przebyć największe odległości. Jeszcze kilka lat temu wyobrażano sobie ewentualną podróż człowieka w przestrzeń międzyplanetarną tylko w pocisku olbrzymim, wyrzucanym z jakiegoś kolosalnego działa. Koncepcja ta została w genialny sposób wyzyskana przez Juliusza Verne w jednej z najlepszych jego powieści fantastycznych o wyprawie na księżyc a w literaturze polskiej przez Żuławskiego w powieści „Na srebrnym Globie”.

Rychło jednak okazało się, że ta literacka fantazja nie może być urzeczywistniona w praktyce. Statek, wyrzucony w przestrzeń, a pozbawiony własnej siły motorycznej, byłby w każdym wypadku skazany na zagładę, byłby igraszką napotkanych sił i oporów, wobec których znalazłby się bezbronnym. Przez pewien czas, po zarzuceniu tej koncepcji, myślano o rakiecie kombinowanej. Użyto wano konstruować taką raketę, która mieściłaby w sobie kilka ładunków raketowych. W chwili, gdy siła wybuchu jednego ładunku przestawała działać, wybuchalby kolejny ładunek i pocisk mknąłby z nową siłą.

Rozwój automobilizmu i lotnictwa nasunął jednak szybko inne rozwiązanie. Zrodziła się myśl, czy, zachowując dotychczasowe maszyny lotnicze i dotychczasową konstrukcję samochodu, nie dałoby się odrzucić motoru benzynowego, a zastąpić go innym źródłem siły. I oto poszukiwania, prowadzone w tym kierunku doprowadziły do pierwszych konkretnych rezultatów. Inżynier Sander skonstruował pierwszy motor raketowy, a Fritz von Opel pierwszy samochód, do którego udało się zastosować ten motor. I odbyła się już pierwsza próbna jazda takiego samochodu. Jest to niezmiernie doniosły wypadek w dziejach ludzkości, conajmniej tak doniosły, jak wynalezienie pierwszej maszyny parowej i pierwszego motoru wybuchowego. Wskazują na to rezultaty tych prób.

Motor raketowy Sandera nie jest właściwie motorem w dotychczasowym znaczeniu tego słowa, nie działa on bowiem pośrednio, lecz bezpośrednio. Siły którą wytwarza, nie przenosi przy pomocy pasów napędowych czy kół zębatach na koła samochodu, lecz bezpośrednio porusza naprzód cały samochód, tak że koła samochodu zostają wprowadzone w ruch niejako na ostatku. — Samochód, pędzony przez motor raketowy, toczy się na kołach, a nie jest poruszany przy pomocy kół, jak samochód z motorem benzynowym lub jak lokomotywa. Motor ten, to baterja nabojęw raketowych, umieszczona w tyle samochodu. Rakety wybuchają jedna po drugiej lub po kilka naraz pchając samochód naprzód, tak jakby to był pocisk armatni. — Przy pierwszej próbie osiągnięto szybkość ponad dwieście kilometrów na godzinę, nie wyzyskano jednak całej siły motoru raketowego, nie naładowano baterji raket taką ilością materiału wybuchowego, jaką można było w niej pomieścić bez niebezpieczeństwa dla samochodu, a to że

względem na drogę, na jakiej poruszał się samochód.

Mogłoby się także łatwo zdarzyć, że samochód oderwałby się od ziemi, że podniósłby go w górę klin zgęszczonego powietrza, jaki w szybkim pedzie wciska się między spód samochodu, a powierzchnię drogi, a wtedy maszyna nie posiadając skrzydeł, runęłaby na ziemię, rozbijając się na szczątki. Przy pierwszej próbie samochód w ciągu pierwszych ośmiu sekund osiągnął szybkość 100 kilometrów na godzinę, a w ciągu następnych ośmiu sekund po doprowadzeniu do wybuchu dalszych części baterji rakietowej, szybkość przekroczyła 250 kilometrów na godzinę. Gdyby bateria cała naraz doprowadzona została do wybuchu, samochód ruszyłby z miejsca z szybkością przelotną czterystu kilometrów i z pewnością uniósłby się w powietrze. Rakietowy motor posiada bowiem też jeszcze zaletę, że skuteczność jego nie zmniejsza się z postępem szybkości. Zwykły motor benzynowy działa najsilniej przy powolnej jeździe. Wtedy pracuje pełną siłą i cała siła może być zużyta na poruszanie ciężaru wozu. Gdy jednak wóz pędzi z wielką szybkością, motor już przestaje ciągnąć, a utrzymuje tylko szybkość. Zwiększając siłę motoru w rozpędzonym samochodzie w dwójnasób — szybkość tylko stosunkowo nieznacznie się powiększy. Inaczej motor rakietowy. Jeżeli wybuch rakiety może pchnąć samochód naprzód z szybkością tysiąca kilometrów, to drugi wybuch o tej samej sile doprowadzi szybkość do dwóch tysięcy kilometrów i t. d. Granicy niema tutaj żadnej, tylko opór powietrza trzeba brać pod uwagę.

* * *

Tak więc według wszelkiego prawdopodobieństwa ludzkość rozpoczęła trzeci etap w dziedzinie rozwoju siły motorycznej. Etap ten zmniejsza ciężar siły jednego konia w porównaniu z motorem wybuchowym już nie o dwadzieścia, lecz prawie o sto razy, czyli że sto koni rakietowych ważyć będzie tyle, ile motor benzynowy o sile jednego konia, a bateria rakietowa o wadze żywego konia, wytworzy siłę 40 tysięcy koni. — Fakt ten otwiera dla ludzkości przestrzeń powyżej 10 tysięcy metrów ponad poziomem morza.

Prace nad udoskonaleniem tego wynalazku posuwają się naprzód w bardzo żywym tempie. Narazie najbliższym celem jest złamanie dotychczasowego rekordu najwyższej szybkości, jaką osiągnięto dotychczas na ziemi. Ponieważ jednak na najlepszej drodze bitych przekroczenie granicy jakichś 400 km. na godzinę stawalioby kierowcę i wehikuł wobec wielu niebezpieczeństw, samochód rakietowy do złamania rekordu szybkości poruszać się będzie na szynach kolejowych, będzie zbudowany w kształcie torpedy i będzie odpowiednio ciężki. Budowa takiego samochodu jest już rozpoczęta, a zarząd niemieckich kolei państwowych przygotowuje potrzebny na dokonanie próby odcinek toru kolejowego bez żadnych krzywizn. Konstruktorzy spodziewają się, że przy tej próbie osiągnięta zostanie szybkość do 800 km.

Równocześnie czynione są przygotowania do zastosowania motoru rakietowego do używanych obecnie aparatów lotniczych. Próby pójść w tym kierunku, aby osiągnąć jak największe wysokości. Ponieważ warstwy atmosfery pora granicę 15 tysięcy metrów dotychczas przez człowieka nie zostały zbadać, dla przekonania się, czy nie kryją w sobie przestrzenie jakichś groźnych dla człowieka niebezpieczeństw, pierwszymi pasażerami tych samolotów rakietowych, wysyłanych na nieznaną i niezbadaną dotychczas wyżynę, będą zwierzęta i aparaty kontrolne. Później dopiero pierwszy człowiek wzbije się w górę.

Valier już dzisiaj pracuje nad modelem aparatu lotniczego z motorem rakietowym, przy pomocy którego możnaby wzbicić się na wysokość ponad 50 tysięcy metrów, czyli już w stratosferę, w przestrzeń, która ma już charakter przestrzeni międzyplanetarnej. — Ze względu na swoją właściwość proporcjonalnego zwiększania szybkości, jest zupełnie prawdopodobnym, że motor rakietowy pozwoli już w niższych warstwach atmosfery, w których opór powietrza jest jeszcze stosunkowo wielki, osiągnąć szybkość do 1000 km. na godzinę. W górnych strefach, gdzie opór powietrza prawie że ustaje, szybkość ta będzie mogła być zwiększona może nawet do 10 tysięcy km. i jeszcze więcej.

Valier jest głęboko przekonany, że najdalej za kilka lat, będzie mógł być podjęty pierwszy lot z Europy do Ameryki na statku rakietowym i że wówczas na przebiegu przestrzeni między Berlinem a New-Yorkiem trzeba będzie w najgorszym razie dwóch godzin, licząc już start i lądowanie. Statek ten leciałby na wysokości 40 do 50 tysięcy metrów.

A gdy ten lot zostanie wykonany, wówczas już tylko jeden krok do lotów w dalszą przestrzeń międzyplanetarną, do wyprawy na księżyc, Marsa i Wenus. Zdaniem Valiera

PARTJE POLITYCZNE W STANACH ZJEDNOCZONYCH. ROLA PARLAMENTU AMERYKAŃSKIEGO I INNYCH CIAŁ USTAWODAWCZYCH.

W stosunku do niezliczonych grup społecznych, o których mówiliśmy poprzednio, amerykańskie partie polityczne są maszyną organizacyjną, ogniwem, uzgodniającym dążenia tych grup z konstytucyjnym stanem rzeczy. Partie te, jako takie, nie posiadają żadnego politycznego ideału ani nie są zdolne do żadnej inicjatywy politycznej. Są to koalicje najróżniejszych grup, które połączyły się w jedną partję, posługując się jednym aparatem dla przeprowadzenia jakiegoś wspólnego interesu materialnego lub zrealizowania jakiejś idei wypadkowej. Reprezentacja w ciałach ustawodawczych jest tylko jednym z celów i zadań partji i to nie najważniejszym.

Dla europejczyka partja jest przede wszystkim grupą parlamentarnych prawodawców a realny jej cel leży w akcie wyborczym i reprezentacji w parlamencie odpowiednich zasad, przekonań czy interesów. W Ameryce partja jest poniekąd parlamentem, w którym rolę naszych partji grają najróżniejsze grupy społeczne. Wprawdzie i u nas każda organizacja partyjna ma swoje ekspozytury w społeczeństwie, ma swoje kluby i komitety, rozrzucone na terenie całego państwa, ale organizacje te służą wyłącznie celom wyborczym i zadaniem ich jest przygotowywanie przyszłego sukcesu wyborczego. Natomiast nie słyszy się u nas o zawodowych politykach, którzy nigdy nie będą prawodawcami, nigdy nie zasiadają w parlamencie; nie słyszy się o leaderach, silniejszych od prawodawców ani o partjach, które silniejsze są od całego narodu i parlamentu.

Bo źródłem siły naszej partji jest wyborca, zaś siła amerykańskiej partji leży w jej organizacji, w jej aparacie organizacyjnym tak niezwykle skomplikowanym i tak doskonałym, że wyklucza wszelką konkurencję. Wyborca nie tutaj niema do powiedzenia, bo niema wyboru. Istnieją tylko dwie partje, a i te tylko pozornie się zwalczają.

Funkcje organizacji partyjnej nie kończą się na akcie wyborów do Kongresu lub stanowego ciała ustawodawczego (legislature), ale sięgają one w dół, do stosunków lokalnych, aż do mianowania funkcjonariuszów policji i urzędu czyszczenia miasta. Lokalne organizacje społeczne i grupy odgrywają wobec partji rolę lokalnych agentur politycznych i w tym charakterze tkwi ich wpływ i siła. A oprócz tego są jeszcze wybory prezydenta Unji, wiceprezydenta, gubernatora Stanu, prezesa sądu i t. d.

Partja na każde z wybieralnych stanowisk mianować może tylko jednego kandydata, posiada zaś w łonie swoim bardzo wiele grup i organizacji społecznych, z których każda ma także przynajmniej jednego człowieka, który na dane stanowisko mógłby i chce kandydować. To też za każdym razem walka w łonie partji jest o wiele gorętsza i namiętniejsza, a nawet bezwzględniejsza niż ostateczna końcowa rozgrywka między partjami. Ilość stanowisk wybieralnych jest w Ameryce bardzo wielka, bowiem niemal każde ważniejsze stanowisko w służbie publicznej jest wybieralne. Byłoby przeto ze względów technicznych trudno, gdyby w każdym wypadku partja chciała osobę kandydata swego ustalać w drodze powszechnego głosowania wśród swoich członków, dyktatura zaś centralnej władzy partyjnej, na wzór absolutyzmu, jaki panuje w europejskich partjach, których zarządy desygnują kandydatów bez pytania się członków partji i wyborców, jest w tym kraju prawdziwej demokracji nie do pomysłenia. Stosuje się przeto w partjach amerykańskich system wyborów pośrednich. W powszechnych wyborach partyjnych wybiera się elektorów, którzy z pośród siebie

najdalej za siedem lat można będzie o tem myśleć.

Należy jeszcze zaznaczyć, że uczeni niemieccy równolegle pracują nad wynalezieniem płynnej masy wybuchowej do ładowania komór baterji rakietowej. Gdyby zagadnienie to zostało rozwiązane, sprawa motoru rakietowego pchnięta zostałaby ogromnie naprzód — wówczas bowiem samochód czy samolot zabierałby ze sobą zbiornik z taką cieczą wybuchową, a jakiś mechanizm ładowałby automatycznie opróżnione komory baterji, przyczem siłę wybuchów, a więc siłę motoru możnaby dowolnie regulować, stosując odpowiednie dawki materiału wybuchowego. Podobno osiągnięto w tym kierunku wysoce obiecujące próbne wyniki.

Stanisław Horwat.

A M E R Y K A

wybierają kandydata. Szczególnie skomplikowany staje się ten system przy wyborze kandydata partji na najwyższe stanowisko, na stanowisko Prezydenta Unji. Wyborcy wybierają najpierw kongres elektorów partji, ci znowu wybierają z pośród siebie szersze grono elektorów ostatecznych, a ci dopiero zbierają się celem ostatecznego ustalenia osoby kandydata.

Wymaga to oczywiście niezwyklej organizacji i sprężystości aparatu organizacyjnego, bo przeciętny obywatel w tem wszystkim się gubi, ale też pod tym względem, pod względem techniki organizacyjnej, partja amerykańska doszła do nieznanej nam perfekcji. I może dlatego przesłała być tem, czem partja być powinna, t. j. środkiem do osiągnięcia celu, a stała się celem sama w sobie. Hasła i tak mało ideowe, i mało jasne cele, schodzą na plan drugi. W pewnych warunkach można o nich zapomnieć, a nawet czynić wprost przeciwnie, niż głoszą. Nikt z tego kwestji nie robi.

Przy tak rozgałęzionej i kolosalnej organizacji, jaką stanowi partja amerykańska, bez specjalistów obejść się nie można. To też powstała armja zawodowych polityków, ludzi bez żadnych zasad politycznych i bez żadnej ideologii społecznej. Ludzie ci trzymają w swoich rękach sznurki, zapomocą których kierują bezwzględnie i po dyktatorsku ruchami wysokich funkcjonariuszów publicznych, a przede wszystkim ruchami prawodawców w Kongresie i stanowych ciałach ustawodawczych. Taka służba w partji znaczy tu więcej niż najlepsza agitacja w wyborach i najlepsza działalność w parlamencie, gdyż od działalności tych funkcjonariuszów partyjnych zależy zgoda w łonie partji, aktywność partji i skuteczność jej wystąpień na każdym polu.

W wyborach federalnych można bowiem osiągnąć sukces, a ponieść klęskę w stosunkach lokalnych, gdzie decydującą rolę odgrywają organizacje i grupy społeczne i gdzie one sprawują kontrolę nad działalnością partji. Dzięki temu, że w łonie partji wre ciągła walka i ścierają się antagonizmy pomiędzy najbardziej sprzecznymi i krańcowymi kierunkami, życie polityczne w Ameryce wre ciągle i nieustannie, a nie tak jak w Europie, gdzie ożywia się tylko przed wyborami.

Partja musi czuwać nad każdym najmniejszym szczegółem w najodleglejszym zakątku tego olbrzymiego kraju. Szczególnie umiejętnie musi być traktowana sprawa nominacji kandydatów na stanowiska publiczne. Pod tym względem też technika działalności partyjnej doszła do poziomu wiedzy. Wszelki dyktantyzm jest tu wykluczony, gdyż przyniosłoby niepowodzenie i nieobliczalną szkodę. Biura partyjne prowadzone są tak, jak się prowadzi biura największych przedsiębiorstw handlowych, a kierownicy ich muszą być równocześnie biegłymi prawnikami, ekonomistami, dyplomatami, a przede wszystkim zaś doskonałymi psychologami. Normalne życie partji wymaga tyle energii, pomysłowości i tyle wysiłków, ile spotyka się u nas tylko w najbardziej wyjątkowych okolicznościach np. w razie wybuchu wojny lub klęsk żywiołowych.

* * *

Stany Zjednoczone posiadają dwie partie polityczne: Republikańską i Demokratyczną. Wszelkie próby stworzenia trzeciego, pośredniego stronnictwa, spełzły, jak dotychczas, na niczem, mimo że podejmowane zostały przez indywidualności tak wybitne jak np. Roosevelt lub admirał Devey. Walka z istniejącymi organizacjami partyjnymi jest zbyt trudna, aby można znaleźć chętnych, którzyby nowej, tworzącej się partji, chcieli powierzyć swoje interesy. Za mało szans, aby te interesy oczekiwały się urzeczywistnienia. Hasło zaś żadne nie może już pociągnąć, bo wszystkie możliwe, poza wywrotowemi, wypisane są już na szyldach obu istniejących partji. Tak samo obie te partje potrafiły skupić w swoich szeregach wszystkie kierunki ideowe i wszystkie odcienie temperamentów, często wręcz sobie wrogich. I tak np. partja republikańska liczy do swoich członków z jednej strony konserwatyście Coolidge'a, a z drugiej rewolucjonizującego senatora Borah'a i wielce radykalnego La Follette'a. W partji demokratów stoją obok siebie ultrakatolik irlandczyk Al. Smith i najlepszy przyjaciel Ku-Klux-Klanu, protestant Mc. Adoo. Coś tak, jakby w Europie ks. Seipel zasiadał w jednej partji z socjalistą Adlerem, Dmowski z Daszyńskim i t. p. Rzeczy takie zdarzają się u nas w nadzwyczajnych wypadkach, gdy w obliczu jakiejś wielkiej konieczności lub jakiegoś wielkiego niebezpieczeństwa powstają wielkie koalicje parlamentarne, których celem jest osiągnięcie arytmetycznej większości głosów.

Ameryka właściwie mogłaby zadowolnić się jedną partją, gdyż wszystkie sprzeczne

kierunki i ideologie ścierają się w łonie partji. Jeszcze trochę więcej lub mniej tych kierunków, doprawdy nie stanowiłoby różnicy. Problem bowiem jest ten, w jakim miejscu umieści się punkt ciężkości tego skomplikowanego mechanizmu, czyli jakich tendencji przedstawiciele i w jakiej sprawie upoważnieni zostaną przez partję do oficjalnego wystąpienia.

Niekiedy przed wyborami zdarza się, że grupa popularnych polityków podnosi krzykliwe zamiar stworzenia nowej partji — hasła takie ma jednak na celu tylko skupienie dookoła siebie jakiejś większej siły, którą następnie za pewną cenę odstępuje się jednej z partji. Targi te są niekiedy ohydne w swoim cynizmie.

Nazwy partji są bez znaczenia, gdyż ani republikanie nie są antydemokratami, ani demokraci nie zwalczają republiki. Demokracja i republikanizm jest tutaj każdy. Hasła głoszone przez partje także nie można traktować poważnie, należy bowiem pamiętać o tem, że partja jest przede wszystkim mechanizmem do realizowania zagadnień bieżącej chwili. Amerykanin wogóle nie filozofuje i nie analizuje, szczególnie w sprawach polityki. Wystarczy mu, że w sprawach, interesujących go jedna z partji zdaje się zajmować jego stanowisko. Od tego zależnym czyni swój wybór. Dyscyplina partyjna także nie obowiązuje i np. uważać można za pewnik, że Stany południowe, głoszące stale przy wyborach za demokratami, w razie kandydatury Smitha na prezydenta Unji, wypowiedzą się za kandydatem republikańskim.

Prawodawcy, przychodząc po wyborach do kongresu, przychodzą niejako do gotowego. Najważniejsze kombinacje zostały już poczynione i uzgodnione, życie ciał ustawodawczych układa się więc spokojnie i wolne jest od wszelkich skandali i awantur. Jeżeli w czasie trwania sesji wypływa jakaś nowa idea, to forsują ją najpierw grupy i organizacje społeczne, wdając się w targi z partjami, celem zbadania, czego od której spodziewać się można. Następnie robi się już obowiązującą umowę z jedną albo drugą, a czasem nawet z oboma. Dlatego możliwym jest takie zjawisko, że najważniejsze ustawy ostatnich lat nie zostały przeprowadzone przez jedną z partji i nie oznaczają zwycięstwa jednej z nich, lecz przeszły większością złożoną z przedstawicieli obu partji. Tak było z prohibicją, tak było z billem imigracyjnym i t. d. Parlament nie jest przeto odbiciem życia publicznego społeczeństwa, nie jest wyrazem układu sił w masach, lecz aparatem, który postuluje spełnia polecenia, jakie są mu komunikowane za pośrednictwem dwóch partji. Parlament nie jest już widownią walki i starć, te rzeczy dokonywały się w społeczeństwie i w łonie partji i co tam postanowiono, musi być bezapelacyjnie wykonane przez parlament. Gdy więc w społeczeństwie temperatura życia politycznego wynosi stale 100 stopni, parlament pogrążony jest w drzemce, z której budzi się tylko wtedy, gdy w społeczeństwie utoroła sobie drogę i znalazła większość jakaś idea i parlament ma jej nadać formy obowiązującego prawa.

W Ameryce całe społeczeństwo jest parlamentem w naszym rozumieniu. I dlatego tak czasem głośno w tem społeczeństwie. Pod tym kątem należy oceniać takie zjawiska, jak np. głośne wybory chicagowskie, walki demokratów z demokratami na tle kandydatury Smitha na Prezydenta Unji, o których ostatnio się słyszy i t. p.

(New-York), Henryk Koźmian.

* * *

Powyższe niezmiernie interesujące wywody posiadają dla czytelnika w Polsce szczególniejszą wartość. W świetle tej głębokiej i wszechstronnej obserwacji życia politycznego i parlamentarnego Stanów Zjednoczonych, nabierają wiele treści i myśli wysiłki Marszałka Piłsudskiego i jego najbliższych współpracowników w kierunku reformy naszego parlamentaryzmu. Po zaznajomieniu się z szczegółowemi i rzeczowemi informacjami p. Koźmiana, idea np. bloku rządowego przestaje być tą „nierozumną i dziwaczną” koncepcją, za jaką dotychczas usiłuje się ją przedstawiać. (Przyp. redakcji).

Powiedz znajomym

że „PRAWDE” można zamówić w każdym urzędzie pocztowym

na miesiąc, kwartał lub rok i że jest obowiązkiem każdego inteligenta, interesującego się życiem społeczeństwa i państwa czytać „PRAWDE”

JAKUBOWSKI

Sprawa niewinnie straconego, a raczej rozmyślnie może zamordowanego przez sąd pruski, emigranta polaka, Jakubowskiego, stanowi nadal jedną z największych sensacji i porusza całą niemiecką opinię publiczną. Artykuł w poprzednim numerze „Prawdy”, przedstawiający wyczerpująco tę sprawę, spotkał się z olbrzymim zainteresowaniem także wśród polskich czytelników. Poniżej przynosimy szereg źródłowych informacji, odnoszących się do obecnego stanu tej sprawy.

Niemiknące pogłoski o niewinności straconego Jakubowskiego, utrzymujące się wśród mieszkańców wsi, w której pracował, a znajdujące echo w całej niemal prowincji meklenburskiej, zaintrygowały kilku dziennikarzy do tego stopnia, że postanowili na własną rękę przedsięwziąć poszukiwania. Następnie sprawą Jakubowskiego zainteresowała się także i „Liga Obrony Praw Człowieka”, której całą sprawę przedstawił obrońca Jakubowskiego n. b. obrońca z urzędu. Ponieważ sprawa zaczęła nabierać coraz większego rozgłosu, zainteresował się nią rząd meklenburski w osobie ministra spraw wewnętrznych von Reibnitza, który polecił szefowi policji kryminalnej zbadanie krzywdzących sądownictwo meklenburskie pogłoski, celem oficjalnego ich zdementowania.

Szef meklenburskiej policji kryminalnej, radca Steuding przestudował najpierw akta procesu, a następnie udał się w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy policyjnych i cywilnego lekarza psychologa na miejsce zbrodni zbrodni Jakubowskiego, do wsi Pallingen. Już wstępne poszukiwania wykazały całą kruchość i niedostateczność motywów wyroku. W motywach tych jako najważniejsze szczegóły stwierdzono: 1) że Ewald Nogens, trzyletni chłopak, przybrany syn Jakubowskiego, zamordowany został 9 listopada 1924 „około godziny 6-ej popołudniu”. I tylko co do tej pory, t. j. na czas 15 do 20 minut przed i po 6-ej Jakubowski nie mógł przy pomocy świadków dostatecznie dowieść swego alibi. Zznał on, że w tym czasie znajdował się we wsi i był w kilku miejscach. „Około godziny 6-ej” jeden ze świadków, kobieta, słyszała przeraźliwe krzyki dziecka od strony pastwiska gminnego. Sąd „stwierdził” w wyroku, że był to śmiertelny krzyk Ewalda Nogensa, który został o tej porze zaduszony.

Najwybitniejsi berlińscy lekarze stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że jest rze-

czą niemożliwą, aby dziecko trzyletnie, duszone przez dorosłego mężczyznę mogło krzyknąć. Steuding chciał mieć jeszcze lepszy dowód i zrobił próbę duszenia dziecka. Próba potwierdziła oczywiście opinię lekarzy. Ponadto jeszcze odszukano kobietę, która zaraz po procesie Jakubowskiego opowiadała, że w krytycznym dniu o tej samej porze szła przez pastwisko niosąc na rękach swoje roczne dziecko i że to dziecko z zimna bardzo głośno płakało. *Kobiety tej w czasie rozprawy nie przesłuchano.*

Już to jedno stwierdzenie obala wszystkie motywy wyroku, które doprowadziły do skazania Jakubowskiego na śmierć. Jeżeli bowiem owe krzyki „około godziny 6-ej” nie pochodziły od Ewalda Nogensa, to Jakubowski nie mógł być sprawcą morderstwa, gdyż na każdą chwilę poza czasem od 5-ej min. 55, do 6-ej min. 15, posiadał zupełnie dowiedzione alibi. Dalsze poszukiwania Steudinga ujawniły jednak szereg całkiem nowych śladów, wskazujących dość wyraźnie, kto może wchodził w rachubę jako prawdziwy sprawca morderstwa. A więc najpierw August Nogens, brat narzeczonej Jakubowskiego, a matki Ewalda. Młodzieniec o bardzo niekorzystnej opinii. W dwa miesiące po morderstwie August aresztowany został za zbrodnię obyczajową, której dopuścił się na własnej dziewięcioletniej siostrze, i skazany był na dziewięć miesięcy więzienia. Prokurator i sędziowie wykluczali możliwość jego udziału w morderstwie Ewalda, ponieważ przyjęli „za dowiedzione”, że podówczas znajdował się w innej wsi, gdzie był na służbie. Wprawdzie na rozprawie zznał jeden ze świadków, że w krytycznym dniu rozmawiał z Augustem i że ten oświadczył mu, iż wraca z Pallingen, lecz sąd uznał, że zeznanie to polega na oczywistej pomyłce.

Drugim podejrzanym okazał się August Blöckner, parobek, który wspólnie z Jakubowskim służył u Eggerta. Jakubowski kilka razy wskazywał na niego jako na mordercę, a obrońca Jakubowskiego domagał się aresztowania Blöcknera. Po zasądzeniu Jakubowski zznał do protokołu, że Kreutzfeld opowiadał różnym ludziom, iż Blöckner przyznał się, że to on wrzucił zwłoki Ewalda do jamy króliczej. Na zasadzie tego protokołu przewodniczący trybunału zarządził „szczegółowe dochodzenie”, t. zn. przesłuchał Blöcknera i Kreutzfelda, a w decyzji swojej dla apelacji napisał: „Obaj stwierdzili, że zeznania Jakubowskiego są nieprawdziwe”.

Pan przewodniczący stwierdził poprostu od siebie, że skłamał Jakubowski, a prawdę mówili Blöckner i Kreutzfeld, pomimo że zeznanie Jakubowskiego zawierało momenty, które doskonale nadawały się do wyzyskania w drodze śledztwa.

August Nogens i Blöckner złożyli obszerne zeznania przed Steudingiem. Obaj zeznali, iż popełnili krzywoprzysięstwo, odpowiadając przed sądem, iż nie wiedzą, że Jakubowski morderstwa nie popełnił. Tłumaczą się tem, że nie sądzili, by mógł zapaść wyrok śmierci na niewinnego, lecz przypuszczali, że skończy się na kilku latach więzienia. August zznał także, że rzeczywiście był w krytycznym dniu w Pallingen i że alibi jego nie było zgodne z rzeczywistością. Powiedział także, że widział, jak Blöckner prowadził Ewalda na pastwisko.

Zeznań tych nie można brać oczywiście bezkrytycznie, ale należało z nich wyciągnąć wnioski, że August Nogens i Blöckner musieli pozostawać w jakimś stosunku do mordu. W każdym razie powinny być wystarczające do przekazania sprawy do nowego śledztwa.

Steuding oddał protokoły swoich poszukiwań prokuratorowi Müllerowi i osadził w więzieniu Augusta Nogensa, Blöcknera i Kreutzfelda. Prokurator Müller udał się na to do więzienia i zapytał aresztowanych, czy przyznają się do morderstwa na Ewaldzie. Blöckner potwierdził swoje zeznanie wobec Steudinga — August odwołał swoje. Na to Müller zarządził zwolnienie aresztowanych, a akta skierował na umorzenie, nie przekazując ich sędziemu śledczemu. Nie zarządził dochodzeń ani z powodu podejrzenia o krzywoprzysięstwo ani o morderstwo.

Wybuchł skandal. Sprawę przedstawił ministrowi sprawiedliwości Rzeszy. Müller, jakby na znak protestu, podał się do dymisji, a rząd Meklenburski przyjął dymisję. Minister sprawiedliwości Rzeszy, do którego także i rząd meklenburski zwrócił się z żądaniem ochrony sądownictwa meklenburskiego od uwłaczających mu „insynuacyj” odpowiedział, że pod żadnym pozorem nie chce mieszać się do tej sprawy i że odpowiedzialność za wyrok i zatwierdzenie go musi już wziąć na siebie rząd meklenburski. Zaproponował jednak ze swej strony, aby uproszono jakiegoś wybitnego fachowca sądownika, który po zaznajomieniu się z aktami sprawy, orzekłby jak należy postąpić. Rząd meklenburski zgo-

dził się na to i na rzeczoznawcę takiego obrano jednego z byłych ministrów sprawiedliwości Saksonji. Ma on w ciągu czterech tygodni wydać orzeczenie.

Pisma niemieckie, poświęcające sprawę Jakubowskiego całe szpalty, drukują m. in. także list obrońcy Jakubowskiego z urzędu, wyznaczonego przez sąd. List ten pisany był w ostatniej chwili do rządu meklenburskiego, od którego zależało zatwierdzenie wyroku, względnie ułaskawienie Jakubowskiego. List ten brzmi:

Schönberg, 13 lutego 1926 r.

Do
Rządu krajowego.

Według zawiadomienia pana prokuratora przy sądzie krajowym w Neustrelitz, rząd krajowy nie skorzystał z prawa łaski w sprawie karnej przeciw robotnikowi rolnemu Jakubowskiemu o morderstwo, skutkiem czego wykonanie wyroku naznaczone zostało na dzień 15 lutego o 7-ej minut 30 rano.

Jako obrońca z urzędu pragnę jeszcze w ostatniej chwili wyrazić rządowi krajowemu moje najgłębsze przekonanie, że oskarżonego uważam za niewinnego zbrodni morderstwa na Ewaldzie Nogens. To moje przekonanie podzielają także wszyscy ci urzędnicy sądowi, którzy mieli sposobność zetknięcia się z Jakubowskim. Także i urzędnicy więzienia krajowego w Strelitz wyrazili się wobec mnie, że nie wierzą w winę oskarżonego.

Ma to być pierwsza egzekucja w kraju Meklenburskim. Gdyby przeto dzięki przypadkowi prawdziwy sprawca został kiedyś wykryty, o co gotów jestem się jak najusilniej starać, to wykonanie tego wyroku stałoby się rzeczą nie do naprawienia. Nie jest także przypadkiem, że właśnie te wszystkie osoby, które zetknęły się z Jakubowskim, nabrały przekonania o jego niewinności.

Apeluję przeto do ludzkości i współczucia ludzkiego członków rządu krajowego i wnoszę najusilniejszą prośbę o ułaskawienie skazanego jeszcze w ostatniej chwili, a to w interesie nie dającego się już nigdy naprawić wyroku śmierci.

Karol Koch, adwokat.

Co to znaczy „mądry człowiek?”

Są ludzie o umyśle logicznym, subtelnym i lotnym, umiejący używać nabytych wiadomości jako założeń, na których budują oryginalne konstrukcje myślowe.

Gdy spotkamy kogoś takiego, mówimy o nim: to mądry człowiek.

Kiedy indziej widzimy umysłowość bynajmniej nie twórczą, ale obdarzoną zdolnością łatwego przyswajania sobie wiedzy.

Także i w tym wypadku słyszymy opinię: to mądry człowiek.

A oto osobnik o intelekcie ani bystrym, ani lotnym, z trudem i móżolem meblujący swą głowę w szkole i w życiu, ale że za młodu przysiadł fałdów, potem dużo czytał i po dróżował, a zawsze obracał się w sferze ludzi wykształconych, więc zebrał sobie zasób wiadomości, który mu pozwala uchodzić za wykształconego.

O takim powiada się również: to mądry człowiek.

To znów mamy prostego chłopca analfabeta. Myśli przyćmiło. Wytłumaczył mu to czy owo nie zawsze łatwo. Ale kiedy już coś wykombinuje, to trafnie. Sąd o rzeczy ma właściwy. Bo ma t.zw. zdrowy chłopski rozum.

Mądry człowiek — przyznają mu ludzie ze wsi i ludzie z miasta.

Nie zapomnijmy wreszcie o naszej dobrej znajomej, kochanej pani Lali, osóbcie o móżdżku ćwierkającej słodko ptaszyny, mającej żywotyowy wstręt do wszystkiego, co traci zdaleka logikę, interesującą się o wiele żywiej ostatnimi dziełami Paquin'a, niż Aleksandra Brücknera, której przezorne ekstrawagancyjki urągają zdrowemu rozsądkowi, — a jednak, a jednak... są sprawy, w których pani Lala jest mistrzynią: umie najlepszą przyciąć precyzyjnie sprzątnąć z przed nosa adoratora, umie także w zawikłanych sytuacjach towarzyskich znaleźć pomysły wyjścia, ba — umie nawet w trudnych warunkach życiowych być prawdziwą pomocą dla małżonka, gdy ten straci głowę z kretesem. Bo — powiem wam w tajemnicy — pani Lala jest „spryciuchna”.

Cóż dziwnego, że i o niej chodzi fama: ho, ho, to mądra kobieta!...

Na czym więc właściwie, wobec takich sprzeczności, polega mądrość? Czy cechą tą

odznacza się w równej mierze i w tem samym znaczeniu lotny umysł intelektualisty i instynkt życiowy sprytniej paniusi, zdrowy rozsądek prostaka i zakuta pała wykształconego „inteligenta?”

Użyliśmy wyrazu „inteligent”, ujmując go w cudzysłów. Zdaje się, że tu leży sedno sprawy. Bo najistotniejszą treścią pojęcia mądrości jest właśnie inteligencja, pod warunkiem, że się ją odróżni od „inteligencji”.

Prawdziwie inteligentnymi są ludzie tej kategorii, którą wymieniliśmy na samym początku. Wchodzą tu w grę trzy czynniki: ogólna umiejętność myślenia, subtelność myślenia i twórczy charakter myślenia.

Ogólna umiejętność myślenia — to myślenie zgodne z prawami logiki: cecha, którą anektują dla siebie mężczyźni, odmawiając jej — słusznie czy niesłusznie — przeciętnej umysłowości kobiecej. Ta kultura myślenia jest rzeczą podstawową i kto nie umie porządnie myśleć, nie powinien być nazwany inteligentnym.

Alle to nie wystarcza. Niemniej bodaj ważną jest tu druga cecha, subtelność myślenia: myślenie, uwzględniające prawa psychologii. A więc rodzaj intuicji intelektualnej, analogicznej do czysto kobiecej intuicji uczuciowej, owej „intelligence du coeur”, jak ją nazywają Francuzi. Jak subtelność wyczuwania jest niezbędna zaletą serca, tak subtelność myślenia jest przymiotem, bez którego sama logika uczyniłaby umysł niezdolnym jednostronnym. Antypatyczność takiej inteligencji byłaby wyrazem jej niedoskonałości.

Myślenie logiczne i psychologiczne jest podstawą i warunkiem myślenia twórczego. Oto trzeci — szczytowy — współczynnik prawdziwej inteligencji. Prawidłowość i subtelność procesu myślowego umożliwia bowiem jego konstrukcyjność. Nie musi się to przejawiać koniecznie aż w wielkich dziełach czy odkryciach naukowych. Inicjatywa w najwykleszej ze spraw powszedniego życia świadczy nieraz bardzo dobitnie o inteligencji. Wyrazem jej może być — przy zachowaniu koniecznych proporcji — zarówno sposób koniecznie porządków w mieszkaniu, jak postawienie teorii względności.

I tu zaraz cisnie się pod pióro antyteza

myślenia twórczego — myślenie odwrotne. Są to t. zw. zdolności: łatwość przyswajania sobie wiadomości. Człowiek zdolny może nie być bynajmniej inteligentnym w tem istotnym znaczeniu, jakie sprecyzowaliśmy wyżej. Zdolność, a inteligencja to dwie zupełnie różne rzeczy. Najlepiej widzimy to w szkole, gdzie nader często t. zw. dobry uczeń, łatwo chłonący wiedzę dzięki swym zdolnościom, wykazuje potem w życiu kompletny brak inteligencji. Na braku tym pozna się zresztą już w szkole każdy wytrawniejszy pedagog. Inna rzecz, że brak zdolności stanowi oczywiście zawsze poważną przeszkodę w rozwoju umysłu inteligentnego. Dla pojęcia mądrości nie jest to więc czynnik zupełnie obojętny.

Powiedzieliśmy, że inteligencję istotną należy dobrze odróżnić od inteligencji tak zwanej. A wiemy, co w potocznym znaczeniu nazywamy „sferą inteligentną”. Jest to kategoria osób o pewnym stopniu wykształcenia. Kto skończył parę klas gimnazjalnych, jest „inteligentem”. Co więcej, do „sfery inteligentnej” zalicza się ludzie, nie posiadających nawet zaczątków średniego wykształcenia, ale mających jakieś mniej lub więcej „umysłowe” zajęcie: od niższego urzędnika pocztowego do dyrektora banku. Tutaj sama „umysłowość” fachu jest rzekomy dowodem fikcyjnego wykształcenia i paszportem do „sfery inteligentnej”. Tak czy owak, cenzus „inteligencji” — to właśnie cenzus wykształcenia. W dawnym wojsku austriackim „Intelligenzprüfung” nazywał się egzamin, mający wykazać pewien stopień wykształcenia, potrzebny do osiągnięcia szarzy oficerskiej. Wszyscy wiemy, co tak pojęta „inteligencja” miała wspólnego z inteligencją.

Mamy więc jeszcze jedno kryterjum mądrości: wykształcenie. Z tego jednak, co przed chwilą powiedzieliśmy, nie należy wysnuwać wniosku, że wykształcenie nie odgrywa żadnej roli w stosunku do inteligencji, jako najistotniejszego czynnika mądrości. Przeciwnie, jeżeli jest ono istotne, a nie fikcyjne, ma tu duże znaczenie. Przedewszystkiem, ze stanowiska ideału mądrości nie jest obojętne, czy ktoś ma pewną sumę wiadomości, czy nie wie zgola nic: głowa jako tako umeblowana ma zawsze większą wartość od głowy, w której wiatr hula. Ale jest tu jeszcze ważniejsza okoliczność: wykształcenie rozwija inteligencję, jeżeli jest ona wrodzona. Sam pro-

ces poznawania kształtuje do pewnego stopnia umysł. Szkoła, oczywiście dobra szkoła, zapewnia kulturę myślenia, owa — jak powiedzieliśmy podstawę inteligencji. A tej kultury nie daje ani samouctwo, ani domowe t. zw. wykształcenie.

Istnieje jednak jeszcze jeden współczynnik mądrości, bardzo doniosły. Jest to zdrowy rozsądek. Przytoczyliśmy przykład chłopca analfabety, który nie ma ani kultury myślenia — wogóle inteligencji w wyżej określonym znaczeniu — ani zdolności, ani wykształcenia, a jednak nie jest to człowiek głupi, bo ma swój zdrowy, chłopski rozum. I przeciwnie: znamy umysłowości o najbardziej wyrafinowanej kulturze, ludzi arcyzdolnych i arcywykształconych, a przecież brak im jednego: zmysłu ujmowania zagadnień z właściwej strony. A to jest właśnie istota zdrowego rozsądku, gdyż umożliwia trafny sąd o rzeczach. Dlatego — zwłaszcza w sprawach nieskomplikowanych — czynnika tego nie zdoła zastąpić nic. I w tem znaczeniu chłop analfabeta może być mądrzejszy nie tylko od „inteligenta”, ale nawet od inteligenta.

Wreszcie — powróćmy do pani Lali, osóbcie o idealnym sprycie życiowym, to jest poprostu — instynkcie życiowym. Ażeby nadobnych moich czytelniczek nie wzbijać w nieuzasadnioną dumę, zaznaczą odrazu, że podobnie jak zdrowy rozsądek nie jest wyłącznym przywilejem chłopów, tak samo instynkt życiowy nie ogranicza się do pici pięknej. Zdolnością do przystosowywania się do warunków życiowych odznacza się również bardzo wielu mężczyzn, a t. zw. „spryt kobiecy” jest tylko jedną z odmian, bardzo charakterystyczną, tej zdolności. W każdym jednak razie człowiek „mądry życiowo” może być człowiekiem bardzo niemądrym, gdyż cecha ta jest najmniej istotnym czynnikiem prawdziwej mądrości, najmniej „absolutnym” jej rodzajem. Instynkt życiowy mądrym człowiekowi nie zaskodzi, ale nie jest on mądry dzięki temu instynktowi.

Pojęcie mądrości jest tedy nader złożone. Nazywając kogoś mądrym dlatego, że odznacza się on jednym z wymienionych czynników mądrości, nawet nie domyślamy się, jak bardzo jesteśmy jednostronni. Chyba, że trafimy na unikat, który skupił w sobie wszystkie owe czynniki. To jest człowiek naprawdę mądry.

Ignacy Wieniewski.

LITERATURA, SZTUKA, TEATR, FILM

Ossolineum

Jubileusz wielkiej fundacji

Nasze obecne ubóstwo w dziedzinie warsztatów pracy naukowej jest bezwątpnie skutkiem przewlekłej niewoli. Tak się złożyło, że nie tylko nie mogliśmy zorganizować pracy naukowej pod auspicjami państwa i na podstawie normalnego podatku, ale nawet tak zwanej ofiarności społecznej powołać do stałych świadczeń. Nadto wielkie ambicje kulturalne prawdziwie oświeconych magnatów z lat 1750—1850, które w całym starym świecie tak bardzo ułatwiły rozwój nauki, u nas przeważnie niszczyły: wicher klęsk politycznych rozpylił fenomenalną bibliotekę Załuskich, wypaczył dzieło Raczyńskiego, zmumifikował niejedną szlachetną i roztropną inicjatywę i ostatnią wolę.

W tej naszej martyrologii warsztatów naukowych wyjątkowe miejsce należy się kwitującej dzisiaj placówce lwowskiej: bibliotece, zbiorom, pracowni naukowej, instytutowi wydawniczemu i funduszowi stypendjalnemu Ossolineum.

Dziedzic imienia i fortuny wielkiego rodu, Józef Maksymilian Ossoliński z Tenczyzna (ur. 1748, zm. 1826), był moim księżkowym, bibliofilem, zapamiętałym zbieraczem, a oprócz tego — jedynym w plejadzie możnych kolekcjonerów swego czasu — prawdziwym, nieprzeciętnym uczonym. Uczeń i przyjaciel Naruszewicza, uczestnik biesiad naukowych z Czartoryskim i Czackim, Janockim i Lindem, współpracownik „Zabaw przyjemnych i pożytecznych” oraz „Monitora”, autor memorjałów o racji i metodzie badań nad literaturą i żywotami zasłużonych, tłumacz Seneki, bystry podróżnik po Niemczech, mało fortunny deputat szlachty galicyjskiej do dwóch kolekcji Habsburgów, — zerwał ostatecznie z wielu sprawami tego świata i oddał się całkowicie bibliomanji oraz pracy naukowej. Osiedliwszy się we Wiedniu, otoczony uczonymi, podległy prądowi słowianofiliemu, — umiał Ossoliński wyzyskać sytuację: w związku z supresją wielu klasztorów, przy pomocy całego sztabu faktorów, w ciągłej walce z innymi chciwymi zbieraczami, — zgromadził piękną bibliotekę. Już w roku 1794 wymagała ona stałej opieki; przez lat dziesięć tkwił w niej, przygotowując swój słownik, pracowity Linde, ciesząc się protekcją uczonego magnata. Sam Ossoliński pisał dużo i rozmaicie, ale dzieł swych nie publikował.

Dopiero po latach pracy wydał w Krakowie (1819—1821) wielkie trzy tomy (zgórną 2.000 str.) p. t. „Wiadomości historyczno-krytyczne do dziejów literatury polskiej...”, zawierające na tle 50 życiorysów, obfity, zduńmiewający plon erudycji i pracowitości. Księga ta, której nie nazwał autor historią literatury, chociaż lepsze miał do tego prawo, niż Bentkowski, stanowi epokę w rozwoju nauk humanistycznych w Polsce: pozbawiona doktryneryzmu, trwale wartościowa przez swe zalety metodologiczne — rezultat subtelnej inteligencji, wycucia historycznego i umysłu krytycznego, przez obfite przytoczenia i opisy bibliograficzne, — stała się punktem wyjścia dla historyków kultury, a niesprawiedliwie osadzona przez wielu (Wiszniewski), doczekała się zupełnej rehabilitacji w epoce naukowej syntezy. Niestrudzony starzec napisał jeszcze tragiczne „Rozmyślenia ślepego” i dyktował — w mroku pograżony — przekłady autorów łacińskich. Zmarł we Wiedniu, prosząc Polaków o udział w ubogim pogrzebie. Władze zakazały mów żałobnych, więc w milczeniu złożono w obcą ziemię zwłoki tego dziwnego człowieka, a dzisiaj pono niewiadomo, gdzie tego grobu szukać...

Ossoliński już w roku 1804 był zdecydowany utworzyć fundację. Wtedy umawiał się z ordynatem Zamoyskim: Zbiory miały być umieszczone w Zamościu, miała być nawiązana nie tradycją wielkiego hetmana. Ale Zamość odpadł od państwa Austriackiego, a Ossoliński tylko w ramach tego państwa mógł zbudować dzieło trwałe. Wtedy to wybrał Ossoliński Lwów.

W marcu 1817 kupuje w tem mieście obszerną ruinę: klasztor i kościół po-Karmelicki. W czerwcu tegoż roku cesarz Franciszek zatwierdza mu statut Zakładu, którym zarządzać mają kurator dziedziczny — użytkownik wielkich dóbr ziemskich, dyrektor, kustosz i pisarz. W ciągu lat następnych sprawa krystalizuje się, zachodzą pewne zmiany w organizacji, następuje umowa z ks. Henrykiem Lubomirskim o włączenie je-

go zbiorów do Zakładu. Po śmierci Ossolińskiego przewieziono jego zbiory z Wiednia do Lwowa (12.000 ksiąg, około 150 atlasów i zgórną 500 rękopisów) i zaczęto odbudowywać ruinę klasztorną. Wtedy zachwiała się cała rzecz z powodu chciwości ludzkiej. Pomogły sprawie Stany Galicyjskie i pomoc społeczna wsparła wielki zamiar mecenasa. Ostatecznie stosunki materialne zaczęły się wyjaśniać i ustaliły się w ciągu najbliższych lat dziesiątków. Kuratorowie ks. Lubomirscy (Henryk, Jerzy i Andrzej), czasowy zastępca Kazimierz hr. Krasicki, a nawet „komisarz” rządowy w latach zatargu kuratora z rządem (hr. Dzieduszycki) spełniają swe obowiązki z całą skwapliwością. Więc podstawa materialna Zakładu staje się naprawdę niewzruszalną i wieczystą.

Istotę rzeczy wcieli w życie pierwszy dyrektor Zakładu ksiądz Franciszek Siarczyński. W roku 1827 zaczął on urządzić zakład i wydawać naukowy „Czasopism”. W latach następnych (1830—1833), już za rządów prof. Konstantego Słowackiego, otwarto litografię i drukarnię własną oraz czytelną publiczną, posunięto naprzód mozolny trud katalogowania. W roku następnym uderzyły w Zakład pierwsze gromy prześladowań politycznych, ucisku austriackiego. W ciągu lat 34 Zakład drżał w posadach niemal ciągle. Administracja i praca inwentaryzacyjna ciągle szwankowała z powodu szycian, stosowanych przez rząd wobec pracowników Zakładu, drukarnia ulegała złośliwej kontroli, czytelnia przez 14 lat była zamknięta.

Pomimo tych przeciwności — Zakład żył i rósł.

W roku 1842 otwarto galerję obrazów, gabinet starożytności i rzeźb oraz gabinet numizmatyczny. Około roku 1850 wcielono do tych zbiorów skarby ks. Henryka Lubomirskiego i Aleksandra Batowskiego, a po latach dwudziestu — Przeworskie. W latach 1844—1846 ukończono inwentaryzacje i katalog abecadłowy biblioteki. Dyrektor Adam Kłodzki podjął wydawnictwo naukowe. Wydaje się z rękopisów dzieła fundatora. W latach 1854—61 pojawia się drugie wydanie Słownika Lindego. Od roku 1857 zaczynają ukazywać się systematycznie sprawozdania z czynności Zakładu. Coraz liczniejsze grono pracowników grupuje się przy tej instytucji; sprzyja temu dobrze pomyślana akcja stypendjalna. Powoli urasta dzieło Ossolińskiego do rozmiarów poważnej placówki naukowej, a po przebudowie Austrii, w nowym okresie swobody kulturalnej — rozkwita wspaniale. W roku 1907 liczy w bibliotece około 125.000 dzieł, 2.000 atlasów i 4.500 rękopisów, a w muzeum około 18.000 rycin, 700 eksponatów w zbrojowni i 27.000 monet, że wymienię tylko niektóre pozycje. Użytkowszy przywilej na drukowanie podręczników dla szkół ludowych, rozwija zakład coraz doskonalszą akcją popularyzatorską, dającą zresztą duże zyski materialne. Zaczynają się ukazywać wydawnictwa źródła do dziejów Polski. Akcja stypendjalna daje krajowi liczny zastęp świętych pracowników naukowych. Pracuje w zakładzie i Szajnocha, i Małcki, i Władysław Wisłocki, i Wojciech Kętrzyński — że wymienię tylko mężów czołowych. W atmosferze podniosłej, w pracy zgodnej, w szczerem umiłowaniu przeszły przez Zakład liczne rzesze uczonych polskich. Każdy nieomal uczonej współczesny coś temu Zakładowi zawdzięcza, jakimś pięknym wspomnieniem jest z nim na zawsze związany. Więc w roku bieżącym, gdy Ossolineum święci stulecie działalności swej — bogate, czynne, niestrudzone — godzi się stwierdzić z powagą i radością, że oto zdarzył się w dziejach rozwoju kultury umysłowej sprawiedliwy obrót rzeczy: ocalało z topieli pogńębienia narodowego dzieła człowieka, który najbardziej, niewątpliwie i najwnikliwiej ze swego pokolenia ukochał był księgi i dojrzał w nich umiał „jak u nas Rzeczypospolita uczona powstawała, zmagala się, kwitnęła”.

Zygmunt Lorenz.

Obecny stan Zakładu (wyciąg z rocznika VII Kasy im. Mianowskiego „Nauka Polska. Materjały do spisu instytucji i towarzystw naukowych w Polsce”, Warszawa, 1927, str. 412, 184, 126, 41).

Zakład obejmuje bibliotekę ze zbiorom druków, rękopisów, autografów, dyplomów,

Pochwała drzew

Bronisław Gałczyński w nowej książce swej p. t. „Drzewa liściaste leśne i alejowe” dał nam nietylko cenne dziełko ogrodnicze, ale i piękne pod względem artystycznym opisanie naszych przyjaciół, drzew. Książkę poprzedza wstęp „Piękno w przyrodzie”.

Nie o walorach ogrodniczych cennej pracy Gałczyńskiego, ale o jej poetyckim polocie, o pochwałach drzew, mówić dziś pragnę. Z każdej kartki, z każdego słowa wyczuwa się wielką miłość Autora do opisywanych przez niego drzew. Z każdego słowa, z każdej litery bije zachwyt. Gałczyński wystawia nam dąb, moczarsza groźnego i słodką lipę, dobrą królową pszczoł, buk gładki i wyniosły, na którego korze kochankowie imiona swoje wypisują i jesion nie lekający się burz, ani wichrów z którego drzewa, twardego i giętkiego jak stal robiono drzewca włóczni, kopji i lanc... A dalej spotykamy pochwałę topoli i pięknego klonu, olchy ku niebu wskaźującej swoim czubem, brzozy „lasów jasnej pani”, dyskretnego grabu i wierzby, którą niesłusznie uznano za drzewo smutku.

Jednym z najpiękniejszych drzew — zdaniem Autora — jest buk: „pień prosty, wysoki o korze jasnej i gładkiej, jak wyniosła popielata kolumna, dźwiga kształtną kulistą korę bogato ubraną ziołisto-zielonym liściem...”

O pięknie klonu pisze Gałczyński: „Wśród drzew, tak pięknie i bogato na jesieni strojnych, na pierwsze miejsce wysuwa się brzoza i klon w swych szatach kąpiących od złota. Ale i na wiosnę piękny jest klon, kiedy kwitnie i młode liście rozwija. Kwitnie najładniej pośród leśnych drzew. Jest wtedy całe jasny, zielonawo żółty. W piękności może równać się z brzozą, która dopiero właśnie wiotkie swe gałązki jasno zieloną mgłą listków przysłaniać zaczyna. Piękny jest i w lecie klon, kiedy na prostym pniu kształtną i zwartą niesie koronę i dloniastymi swymi liśćmi, jakby tysiącem rąk, zdrożonego wędrowca przed upałem chroni...”

Mówiąc o pięknie brzozy, Autor pisze: „Co wiosną każdy zachwycia się jej nową sukienką z małych, pachnących, nieco lepkich listeczków, jakgdyby pierwszy raz ją widział tak ubraną. Co jesień każdy podziwia jej strój balowy rozwiany i kąpiący od złota,

map i t. p. Muzeum im. Lubomirskich, z gabinetem rycin i numizmatów. Osobny dział stanowią zakłady przemysłowe (drukarnia i introligatornia), służące celom wydawnictw Zakładu.

Zakład wydaje książki szkolne, popularne i naukowe. Organem biblioteki jest „Przewodnik Bibliograficzny”, poza tem Zakład wydaje „Bibliotekę Wschodnią”, „Bibliotekę Wychowania fizycznego”, „Z dziejów literatury”, „Z historii kultury” i t. p.

Budżet Zakładu na cele Biblioteki i Muzeum (1926 r.): 150.000 zł.

Biblioteka Zakładu. Charakter jej naukowy, zabiega o kompletowanie polskiej produkcji wydawniczej. Specjalność: polonica, literatura naukowa, dotycząca Słowiańszczyzny i Europy Wschodniej. Jej zawartość: 167.515 dzieł w 400.000 tom., a wraz z nieskatalogowanymi i dubletami 660.000, inkunabułów 300, rękopisów 5477, niezinventaryzowanych ca. 3500, autografów 5293, dyplomów 1742, map i atlasów 2323, numizmatów i medali 21.974. Dyrektor: dr. Ludwik Bernacki.

Biblioteka Pawlikowskich (przekazana Zakładowi w r. 1914, przejęta w 1921) składa się z 21.000 dzieł w 26.000 tom., 270 rękopisów, 4270 autografów, 242 dyplomów pergami nowych i papierowych, 670 map, 25.000 rycin, 2600 monet, 626 pieczęci, 130 obrazów i pamiątek.

Muzeum im. Lubomirskich. Zabytki historyczno-pamiętkowe i broń (łącznie 3824 okazy), obrazy (1043), rzeźby (465), ryciny (28.648 sztuk). Specjalnością Muzeum jest zbiór broni i grafiki. Przy Muzeum biblioteka podręczna (2000 t.). Kustosz Muzeum: dr. Mieczysław Gębarowicz.

jakby ona jedna tylko tak umiała się ubrać. I nikt nie umie powiedzieć, kiedy jest piękniejsza — w tej zielonej, czy w tej złotej sukience. Niektórzy mówią, że najpiękniejsza jest w zimie, kiedy w zwieszony włosy gałązek jest tylko ubrana...”

Autor „Drzew”, jak widać z podanych przezemnie fragmentów, przedziwnie odczuwa urok i piękno leśnych drzew. I mówi o nich tak serdecznie, jak o kimś bardzo bliskim i bardzo kochanym.

Słowa jego o brzozi nasunęły mi jedno własne wspomnienie. Najpiękniejsze w życiu brzozy widziałem właśnie w zimie... Było to na początku stycznia. Poczęła się odwilż. Brzozowy gaj stał cały w perłach lodowych, w tających łzach, w kryształowych słonecznych rosach, w płonących djamentach... Rano jeszcze śnieg ciężarem swoim przytłaczał i pochylał pomniejszych dziewczęce, brzożki, zgięte ku ziemi, napięte, jak łuki, biedne, słabe brzożki o wmarzniętych w śnieżną skorupę wierzchołkach... I oto pod czarodziejską pieczęcią słońca stał się cud. Śnieg taje. Zgięte łuki brzoż ociekają perlą płaczem kryształów. Na ich zaplanych wilkach słychać tkanie śniegu i miarowy szelest padających w słońcu kropel.

W brzozowym gaju przez to zapłakanie, przez te łzy przeblyskuje złoty uśmiech słońca, który każdą perłę lodu, każdą kropelkę tającego śniegu zamienia w klejnot najcudniejszy i radosny, jak samo słońce... Nigdy nie widziałem piękniejszych brzoż, jak wtedy, gdy słońce rozpałało tysiące ogni w ich promiennych, tających łzach...

Ciekawy jest pogląd Gałczyńskiego na wierzbę, która niewiadomo czemu została drzewem smutku i żaloby. Cytuje nam Autor „Drzew” słowa Bartkiewicza o szczęśliwości wierzby... I zapytuje: skąd się to wzięło i kto wymyślił, że wierzba płacze?

Mam wrażenie, że w literaturze, która uznaje wierzbę za drzewo żalności, nie wierzby płaczą, ale fujarki z nich wyczarowane... I smutek wierzby nie jest przez poetów zmyślonym — lecz narodził się w smutnej pieśni pastuszej, granej na wierzbowej fujarce.

Pięknie przypomina Gałczyński, mówiąc o olchach, bitwę w olszynie Grochowskiej — i klęskę, po której olchy kulami posiekane „wskazywały na niebo, jako na źródło nadziei”.

Jest boską cechą wszystkich drzew, które ziemię z niebem łączą, iż szczyty ich na niebo wskazują, „jako na źródło nadziei”, wiary i miłości... Dlatego drzewa kochamy, jak istoty bliskie i dobre... Książka Gałczyńskiego pozwala nam wejść w tajemnicze serca naszych leśnych przyjaciół, w szumne i zielone serca drzew, które mają w sobie bezmiar czarodziejskiego piękna...

Juljan Ejsmond.

Swieżo wyszły z druku:

Józefa Jankowskiego

Slepy Margrabia

Widowisko sceniczne w trzech aktach z epilogiem (Dom książki polskiej)

Zł. 3.50

Historje niezwykle

Nowele (Gebethner i Wolff)

Zł. 5

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Aspiracje

— Na to człowiek pracuje, żeby się wzbic — powtórzyła z upartym przekonaniem pani Pietraszkowa. Wypowiedziawszy te słowa oparła się na szczerce do zamiatania i popadła w głęboką zadumę.

— Racja najświętsza. Ale niechże pani Pietraszkowa mówi dalej. To bardzo ciekawe.

— Człowiek, jak bydlę, dochodzi do swego rozumu przez bidę. Poskapisz kobyle obroku, wnetci ją fantazją odejdz. Więcej się może zlejsza w sobie robi, ale do roboty zmieknie. Tylko tam się człowiek od bydlęcia odróżni — człowiek, mówię, nie tam byle flajtach bez honoru — że zawzięnie się, i co mu raz-raz po grzbiecie, to mu ambicji przybędzie... no czy nie?

— Tylko taki człowiek jest coś wart, moja pani Pietraszkowa.

— To samo mówię. Mnie, żeby tak przyszło opowiadać, co się przeżyło, że to jak to mówią i na wozie i pod wozem, i z iluch pieców się chleb jadło! Pamięci nie stanie, choćem, znaczy się, i dziś nie stara. A zawsze to jedno: wzbic się. Żeby nie to, leżałoby się w rynsztoku od świętej pamięci. Od dziewuszy do pomywania szklanek w piwiarni — do tego, nie przymierzając, co dzisiaj. To jest nic, można powiedzieć, bo co tam, wyjść za prostego pościana... Nie o to, ino że co człowiek wart, to wart.

Pani Pietraszkowa wyprostowała się dumnie i rozjaśniła ostrą twarz uśmiechem dziecięco błogim.

— Z domu wytknęli, ot! Za nic. Ojczyśko po pianemu wygnano, żem mu się sprześciwiła. Świeć mu tam Panie, biedakowi. Dwanaście lat, a już ze mnie taka sztuka była zawzięta, że wrócić, choćym zdechła z głodu, nie wróciłabym. Nie to nie, i ślus. Koszulisko ze mnie opadało, kiedy mnie wzięni do tego szynku na pomywaczkę. Noc w noc śpiewy, bójki, krzyki, szturchańce, Staśka tu, Staśka tam, a Staśka tu, Staśka tam. Tak się człowiek, jak to mówią, znieczulił, że obijał się tylko jakby nie ten, po wierzech z drewna, a we wnętrzu z waty. Bez sen ryczałam na tym sienniku przy schodach, żem to na jawie nie miała czasu, a mus wybeczeć się, no czy nie? Dwanaście lat dziewczyna. Więc, jak to mówią, żeby czasu zaśparować, beczalo się na śpiąco.

— Długoż tam pani Pietraszkowa wytrzymała?

— Bez mała rok. Potem w służbę, ale jakie to służby dla takiego berbeciala! Chuchro, ni to ubrane, ni to pyskate, żeby się choć odszczeknąć za swoją krzywdę. Haru-haru, haru-haru, ni pieniędzy, ni towaru. Miesiąc, dwa, czasem dłużej, a czasem i dwa, trzy dni, i tak z miejsca w miejsce, z miejsca w miejsce. Dopiero tak ze szesnaście, siedemnaście lat, zaczęło się rozumieć, czego się niby chce. Najgorsza cholera ze mnie się zrobiła w te czasy. Inne dziewczuchy ponauczały, życie nauczyło... Nie dał se człowiek marnego słowa powiedzieć, zaraz do oczu. A nie, to już mię niema. Panie różne się trafiały, i niezłe, ale ten djabł, co się we mnie zagnieździł, nigdzie nie dał usiedzieć. Z początku jak po maśle, ale wnet pif! pif! — jak kotka z pazurami. Ale nima co: już miał człowiek to dążenie: wzbic się.

— Ale co właściwie pani Pietraszkowa rozumie przez to wzbicie się? Pytam, bo — prawda? każdy taką rzecz po swojemu sobie tłumaczy.

Pani Pietraszkowa uśmiechnęła się tajemniczo i z pewnem zawstydzeniem.

— Wszystko proszę pana, kolejno. Po pierwsze ogarnąć się, po drugie mieć książkę, świadectwa, no a potem już jedno idzie za drugim. W naszym stanie każda dąży najpierw, aby miała pościel, niby własny piernat, poduszki, kape, a drugie, żeby co następne miejsce, to troszkę było lepsze.

— No tak, bardzo rozsądnie. Pościel dla wygody, a tamto dla pożytku.

— Ale! Co ma wygoda do pościeli? Tak i tak człowiek na niej nie śpi.

— Jakto nie śpi?

— Na paradnej pościeli? — zgorszyła się pani Pietraszkowa. — Też coś! Jeśli czas i ochota, całą zdejmujesz, układasz na kuferku, a na sienniku śpisz, a zwykłe to na patatajkę, na chybicka, aby ino starą chustką się przykryjesz i na ławce, albo na ziemi. A łóżko se stoi usłane gładziutko, aż miło.

— Więc pocóż to pościel?

— Dla honora — zbyła krótko i pogardliwie pani Pietraszkowa. A znów co do poprawy, to też ciężko idzie i nie zaraz. Z popychadła, z koemolucha, idziesz do wszystkiego do gorszych państwa, za przeproszeniem do szewcowy, albo do takiego co ma kram i sam ze żoną robi przy handlu, a w domu nima komu. Do dzieciaków, do brudów, do rondli. Hołota, psiańrew. Trudna rada, żeby zawrzesz i rób, byle za tych parę groszy coś lepszego na grzbiec wsadzić. Masz

KSIĄŻKI

Z GŁĘBI SERCA.

Kazimiera Hłakowiczówna — Z GŁĘBI SERCA — Nakład Gebethnera i Wolfa w Warszawie.

Tym razem daje nam Hłakowiczówna spory, dwustronicowy tom poezji obejmujący trzy części: Z głębi serca, Świętych obcowanie. Z domu niewoli.

Wiersze napisane zostały w różnych latach — niektóre jeszcze w roku 1914-ym. To też mamy w tym tomie utwory charakterystyczne dla wszystkich prawie faz rozwoju tej tak wielce utalentowanej poetki, zajmującej dzisiaj bezsprzecznie pierwsze miejsce w polskiej poezji współczesnej.

W części pierwszej zawarte zostały utwory ostatnie. I ta część jest najbardziej wartościową. Poetka tworzy z głębi serca — nie śpiewa nie bawi się słowami i zwrotkami, nie pisze wierszy, lecz zmagą się, by znaleźć wyraz dla uczuć, które szarpia duszę i serce, by zrozumieć wszystkie drgania serca, z wrażliwością najczulszego sejsmografu chwytającego fale przeczuć i nadziei, refleksy przeżyć ludzkich, płynących przez świat.

Zmagą się i szuka — znajduje, lecz nie wierzy, że to wszystko, że już znalazła, czego szuka. Na pierwszej więc karcie spowiada się:

„Jeszcze nie wszystko we mnie jest dla mnie znajome...”

A jednak głęboko, bardzo głęboko zajrzała poetka w duszę. I stało się to, co stać się musi zawsze, gdy głęboki umysł zwróci się ku zagadce bytu, zwłaszcza gdy w parze z niem idzie intencja poetycka. Zjawia się nieważność do ciała — więzienia duszy:

„Z jakimże hymnem niebosiężnej radości wyleć zwycięsko na trupa...”

Ale pesymizm nie leży w naturze poetki. Doczesność ma także swój cel, nie należy traktować jej wyłącznie jako czyszciec dla duszy. Trzeba szukać. To też szuka poetka i zajmuje się wszystkim co się dookoła niej dzieje, a przedewszystkiem życiem swego narodu. I nie pobieżnie tylko — lecz z głębi serca. Zabiera nawet głos w sprawie litewskiej. Ta sprawa szczególnie leży jej na sercu — jest córka tego kraju, który już to do siebie ma, że jest jak zdrowie, które się najwięcej ceni, gdy się je straciło.

już błuczynie, kuferek, bety, to idziesz do prawdziwego państwa.

— To chyba można było zostać gdzie w porządnym domu na stałe, czyż nie?

— Ech, kręciło człowiekiem... na to miłość. Różnie bywało, ale choć po troszku lepiej. Aż najdłużej oparłam się w hrabskim domu, gdzie nas było czworo, ja za młodsze, kucharka, lokaj i praczka. Tej praczce to było życie! Dziwki robiły pod nią dwie, ona tyle, co zarządzi, pokaże, wodę spróbuje, mydło powącha. Kojnieryżk sprasuje, fałbaneczki, pliseczki. Nabiłam sobie tem głowę: to dla mnie los. Dochód, lekka robota i stanowisko. Aby się wzbic! Wziął się człowiek za to pranie — podziękowałam tam i zgodziłam się do pralni — prac się wyuczylam, prasować, sztywne bielizne, wszystko. Jak sprasuje meską koszulę, rzucić w górę, a nie rozleci się. Odłożyłam też parę ładnych groszy. I tak se myślę: tu jeszcze porobię, ubieram i kupię se magiel. To dla mnie los! Pazurami się człowiek tego czepił, robił dniem i nocą... i co mi z tego!

— Cóż się stało? Nie udało się?

— Ech, bo pan też — zachnęła się z nagłą niechęcią — namówi człowieka, i tylko gryz się potem temi wspomnieniami. Przyszła wojna, wszystko djabł wzięni i co tu gadać. Trza było potem łapać, co się przytrafiło. I żyć się odechciało i robota obmierzała i te służby sparszywały człowiekowi, że mu już wszystko, jak to mówią, śmierdziało. Trafił się chłop, choć co to dla mnie... postaniec!

Pani Pietraszkowa zaśmiała się pogardliwie i gorzko.

— Ni rzemieślnik, ni urzędnik... Dobrze ci tak, babo, nie patrz wyżej swego nosa. Na posługi chodź, twarzą chleb gryz. Ale co już Łodzie — na wspomnienie córki twarz jej rozpromieniła się znowu — Łodzie, to tak wychowam, że no! Choćby przyszło trupem paść, magiel, kupujemy, niech ma dziewczucha w posagu.

— A co będzie, jeżeli panna Łodzia zechce się wzbic jeszcze wyżej, ponad magiel?

— Jeszcze wyżej? — spytała ze zdumieniem, graniczącym ze zgrozą. — Też panu do żartów! Przecie zamąż za samego Prezydenta nie pójdziesz?

T. Brudzewski.

„Wyszło nas stamtąd wielu rozeszliśmy się po kraju: wszystkie dzielnice Polski nasz upór zacięty znają! Wzięliśmy się do roli, do szabli, do pendzla, do pióra, wstąpiliśmy na ambony, zasiedliśmy po biurach.

Wszędzie gdzieśmy stanęli — poważni, ubodzy w słowa, powstawał jakby szaniec, jakaś obronna placówka. Powstawał surowy ład, powstawał zarodek potęgi, dech siły wyrastał z niczego i większe zataczał kręgi.”

Dziewięć wierszy składa się na ten „Głos w sprawie litewskiej”.

Hłakowiczówna dała w nich najtrudniejszą próbę, jaką tylko zdać może talent poety. Potrafiła bowiem dać artystyczny wyraz sprawie aktualnej, a w dodatku politycznej. Bo chociaż w sprawie tej zajmuje stanowisko, wiersze jej nie mają w sobie ani śladu rymów okolicznościowych lub rymowanego artykułu politycznego. Jest w nich poezja — płyną z głębi serca:

„Smuci się w wiosce zapadłej śród lasów, aż gdzieś pod Lidą, gospodarska dorodna córka... ..Lata powoli idą... ..Naręczony po tamtej stronie w kowieńskim gnije więzieniu.

... Chodziła pieszo do Wilna, jasnawłosa, milcząca, zacięta, zaraz po koronacji, gdy jeszcze dźwięczało święto; całą się przewlokła ulicą nagiemi kolanami, żebrząc: „Królowo Wileńska, pogódź nas z Litwinami!”

Bogaty jest ten tom — bogaty głębią myśli i uczuć. Z głębi serca one płyną i do głębi serca przenikają — z głębi serca polskiego i do głębi polskiego serca.

Jest w tym zbiorze także jeden króciutki wiersz, napisany w r. 1914 a dedykowany Józefowi Piłsudskiemu, zatytułowany: „Trzy strony”:

„Harę pieśniarza strzaskały pioruny, zostały tylko trzy strony. Serce ustaje, drga coraz boleśniej, zostały tylko trzy pieśni.

Pierwsza zawodzi po nocy w żalobie, druga przysięgi powtarza na grobie, trzecia przebiega jak wicher po błoniu Pierwsza zapomnieć o harbie nie może, druga w powietrzu jak pochodnia gorze trzecia zmyliła i pościł i warty, mundur ma krwawy, na piersiach rozdarły, głos jej się zrywa, gdy polami goni: „... do bronii!... do bronii! do bronii...”

Gebethner i Wolff dali książce godną szatę. Czcionki i druk Anczyca w Krakowie, papier prawie luksusowy. Szkoda, że nie zdecydowano się dać także trwałej i artystycznej oprawy.

RZYM STAROŻYTNY NA MORZU.

(Benito Mussolini — Rzym starożytny na morzu — Z oryginału przełożyła Franciszka Szyfmanówna. Warszawa 1928 — nakładem księgarni Ferdynanda Hoesicka).

Niezwykle starannie wydany tomik ten zawiera w bardzo dobrym polskim przekładzie odczyt, wygłoszony, przez Mussoliniego w październiku 1926 roku z okazji inauguracji italskiego uniwersytetu dla cudzoziemców w Perugji.

Mussolini w odczycie tym stara się przeprowadzić dowód, że Rzym starożytny służył również na morzu, że był także potęgą morską, że Imperjum Rzymskie było także imperjum morskim. Kolejno przedstawia etapy powstawania rzymskiej floty wojennej i handlowej, pierwsze konflikty z Kartagijną i pierwsze zwycięstwa morskie Rzymu nad morską potęgą Kartaginy, zwycięstwa, które stały się bezpośrednią przyczyną wyprawy Hannibala i jego brata Hazdrubala na Rzym drogą lądową przez Pireneje i Alpy. Wyprawy te Kartaginy nie uratowały. — Rzym nie spoczął dopóki nie legła w gruzach nie tylko morską ale także i lądową jej potęgą i władztwo.

Mussolini jest entuzjastą starożytnej Romy i starożytnego Imperjum rzymskiego. Z wywodów jego bije zachwyt dla minionej świetności i przewagi Rzymu i aż nadto wyraźnie wyczuwa się, że w tym okresie pra-

nie szukać wskazań i wytycznych dla polityki współczesnych faszystowskich Włoch. Kończy też swój odczyt następującem zdaniem:

„Można zatem stwierdzić, że Rzym był też potężny na morzu i że ta potęga była wynikiem długich poświęceń, niezachwianej wytrwałości i niewzruszonej woli. Te zalety znaczyły wczoraj, będą znaczyły jutro i zawsze”.

KRZYWDY DOZWOLONE.

Zofia Cieszkowska — KRZYWDY DOZWOLONE — powieść odznaczona na konkursie „Bluszczu” w 1913 r. Wydanie czwarte. Warszawa 1928. Nakładem księgarni „Światło” (Świętokrzyska 26)

Książka dla kobiet — dla mężatek. Każdy mąż to potwór, pijak, hulaka, karciarz, a czasem także chory — każda żona to męczennica, której nie oszczędzono ani jednego cierpienia, rozczarowania, ani jednej ofiary i męki... chyba, że potrafi się „urządzić” i płacić pięknem za nadobne.

Dzisiaj już takich powieści nie piszą, oprócz w Hollywood, dla filmu. Niema też dzisiaj takich żon jak bohaterka powieści Cieszkowskiej. A mężowie? Mężowie pewnie trafiają się jeszcze tacy, jak bohater i kilka innych postaci tej powieści.

NARKOTYK GÓR

Rafał Malczewski — Narkotyk Gór — nowela. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Czytelnik polski rzadko kiedy dostaje do rąk tom tak wartościowych i tak doskonale wybranych i dobranych nowel. Tytuł najzupełniej odpowiada treści. To naprawdę narkotyk — po przeczytaniu chciałyby się spałkować narty i uciec w góry, by przeżywać te wszystkie cuda, które Malczewski z takim zapałem i talentem maluje.

Bije z kart tej książki odblask pogody górskich szczytów, wiecznym o nieskalanej białości śniegiem pokrytych, tchnie z nich powiew krystalicznie czystego, bajecznie przejrzystego powietrza. A co za język, co za plastyka opisów!

Trzeba najpierw umrzeć

Podczas gdy Prezydent Republiki niemieckiej, Hindenburg, chlubi się, że od czasu opuszczenia murów szkoły kadetckiej nie przeczytał w życiu swoim ani jednej książki, premier angielski Baldwin uchodzi za bardzo pilnego czytelnika i to nie tylko artykułów politycznych i dzieł, mających związek z jego działalnością państwową, lecz także i literatury pięknej swego narodu.

Ostatnio w czasie jakiegoś obiadu sąsiadka przy stole zwróciła mu uwagę na powieści świeżo zmarłej literatki angielskiej Mrs. Mary Webb. Baldwin przyrzekł przeczytać powieść tej autorki p. t. „The Golden Arrow”. I przyrzeczenia dotrzymał, a co więcej, dnia 25 kwietnia b. r. na posiedzeniu na obiedzie Królewskiego Klubu Literackiego zwrócił uwagę obecnych na wybitne walory powieści zmarłej pisarki.

Efekt był piorunujący. Na drugi dzień po tym obiedzie, wszystkie telefony firmy wydawniczej Constable & Co były w obłożeniu. Kto żył zamawiał powieści Mary Webb. Księgarze ze wszystkich stron Anglii zamawiali setki egzemplarzy. W ciągu kilku dni wyprzedano wszystkie będące na składzie egzemplarze. Sprytni wydawcy, pragnąc wykorzystać zainteresowanie, wypuścili w ostatnich dniach biografie autorki. Jest to smutna książka, bo smutna jest historia Mary Webb. Umarła w nędzy, powieści jej mimo przychyłnej oceny krytyki, nie znajdowały powodzenia, wydawcy narzekali na straty, autorka zmarła w nędzy. W książce przytoczony jest list wydawców do autorki:

Szanowna Pani Webb!

Przeprowadziliśmy ostatnio kontrolę na kładzie ostatnich dwóch powieści Pani i stwierdziliśmy, co następuje: Za obie powieści: „The Golden Arrow” i „Gone to Earth” zapłaciliśmy Pani dotychczas 145 funtów szterli. Strata nasza wynosi tylko na niesprzedanym nakładzie 97 funtów, nie licząc innych kosztów. A z tych innych kosztów same tylko koszty ogłoszeń i reklamy wyniosły po szylingu i 6 pensów od tomu.

Łączymy wyrazy szacunku
Constable & Co.

Dzisiaj już wszystko jest w porządku... dla panów Constable i S-ki. Oni odbili sobie już wszystkie poniesione straty z procentem i procentem od procentu. Nawet Mister Baldwin skorzystał przy tej okazji, gdyż dowiódł, że interesuje się wszystkim, co ma związek z życiem jego narodu.

Mary Webb tylko nic już nie skorzystała. Leży w grobie...

BIEŻĄCE ZAGADNIENIA GOSPODARCZE I KRONIKA

Co mówią cyfry?

Saldo ujemne naszego bilansu handlowego za kwiecień, wynoszące 81.105 tys. zł., było nader przykrą niespodzianką dla tych, którzy słusznie uważają saldo marcowe za zupełnie niemiarodajne, bo wywołane okolicznościami wyjątkowymi, spodziewali się bardzo znacznego odprężenia w kwietniu. Spotkał ich zawód dotkliwy, bo wynik kwietniowy, lubo znacznie mniej niekorzystny od marcowego, jest jednak o blisko 10 milionów zł. gorszy od lutowego, choć ten ostatni kształtował się już pod wpływem przeliczenia cel — więc nienormalnie.

Wzrost salda ujemnego w kwietniu w porównaniu z lutym wyjaśnia wyczerpująco zwiększony o blisko 19 milionów zł. przywóz artykułów spożywczych. Na tę sumę składa się głównie zwiększony dowóz: pszenicy (o 5,6 milj.), żyta (o 13,6 milj.) i ryżu (o 2 milj.) — zatem artykułów, niezbędność których wyklucza możliwość zastanawiania się nad gospodarczo niepożądanym ich charakterem konsumcyjnym.

Gdy wspomniacie sumy zwiększonego o 10 milj. salda ogólnego i 19 milionów wzrostu dowozu artykułów spożywczych zestawicie jeszcze ze sumą zmniejszonego w kwietniu w porównaniu z lutym o 13 milionów ogólnego wywozu polskiego, to dochodzi się do wniosku, że zgruba przywóz pozostałych artykułów, oprócz spożywczych, zmniejszył się o 22 miliony, czyli w stosunku do sumy ogólnej lutowej zaledwie o jakie 8 proc.

Czyż potrzeba wymowniejszego jeszcze dowodu, że światowy hałas, wzniesiony przez państwa obce, głównie zaś przez Czechosłowację i Austrię, opierał się na bluffie? że zlikwidowanie reglamentacji jest sowitą równoważnikiem podwyższonej taryfy celnej? i wreszcie, że rząd nasz zbyt pochopnie dał ucho nieskromnym żądaniom nowych zniżek celnych?

Dowód ten nabiera jeszcze mocy przekonującej, gdy się zważy szczególne nasycenie rynku olbrzymim relatywnie przywozem marcowym. Jeżeli zatem mimo to zmniejszenie się przywozu ogólnego jest tak nieznaczne, to wynika z tego nieomyślnie twierdzenie, że podwyżka stawek taryfy celnej na naszą zdolność importową ujemnie nie oddziaływała.

W głównych dziedzinach przywozu konsumcyjnego porównanie kwietnia z lutym przedstawia się, jak następuje: metale i wyroby metalowe przyrost o 1,2 milj., czyli o 7,5 proc., papier, tektura i wyroby z papieru spadek o 2,3 milj., czyli o 60 proc., przędza bawełniana spadek o 0,6 milj., czyli o 13 proc., tkaniny bawełniane spadek o 0,6 milj., czyli o 12 proc., przędza wełniana spadek o 3,3 milj., czyli o 50 proc., tkaniny wełniane spadek o 0,05 milj., czyli o 3 proc., odzież i konfekcja przyrost o 0,7 milj., czyli o 40 proc.

W dziedzinie przywozu inwestycyjnego i produkcyjnego, do którego w tem zestawieniu oprócz maszyn, aparatów i przyrządów instalacyjnych zaliczamy również materiały i przetwory chemiczne organiczne, przywóz nie wykazuje znaczących zmian.

Zatem oprócz papieru i przędzy wełnianej których niewątpliwie tylko przejściowo przywieźliśmy mniej, ostabienie tempa przywozu jest zgola znikome, a w dziedzinach takich, jak wyroby metalowe lub konfekcja, tempo to jest nawet wzmożone.

W tych warunkach objaw konsekwentnie zmniejszającej się wartości naszego wywozu nabiera szczególnej wagi, gdyż jasnym jest zupełnie, że po zmniejszeniu się wartości przywozu niczego spodziewać się nie możemy. Bo gdyby przywóz produktów spożywczych był w kwietniu nawet spadł do zera — to i wtedy jeszcze mielibyśmy saldo ujemne w wysokości ok. 30 milj. złotych.

Zapewne, że wyciąganie z tego jakichś pośpejnych przewidywań na najbliższą przyszłość byłoby wielką przesadą. Stan zasobów Banku Polskiego, wynoszących na dzień 10 maja 1.126 milj., a łącznie z dewizami, niezaliczonymi do pokrycia, 1.344 milj., decydująco rozwiewa wszelkie obawy doraźne. Niemniej jednak błędem byłoby zamykać oczy na to, że zasoby te, zwolna wprawdzie i stopniowo, ale stale się zmniejszają i że wartość kruszców i dewiz od 10 stycznia (1.212,4 milj.) do 10 maja, t. j. w okresie 4-miesięcznym, spadła o blisko 100 milionów mimo dopływu dewiz z pożyczek zagranicznych prywatnych i publicznych.

Jakkolwiek dopływ kredytów zagranicznych na większą skalę jest dopiero zaledwie zapoczątkowany i rachuby na jego rozwój

Skoro rolnik będzie przemysłowcem...

„Rolnictwo będzie najzyskowniejszym zajęciem, skoro rolnik będzie się uważał za przedsiębiorcę i będzie odczuwał strach przed marnotrawieniem, czy to pracy, czy też materiału”.

Tak mówi Ford. Kto dokonał zupełnego zrewolucjonizowania metod wytwórczości przemysłowej, ten może mieć podstawy do osądzenia tego, co rolnictwu jest potrzebne, aby odzyskało swą zyskowność czy to w Europie, czy w Ameryce. Cała sprawa kryzysu w rolnictwie nie jest w istocie niczem innym, jak sprawą technizacji rolnictwa i racjonalnego zorganizowania zbytu. Idzie o to, by w przemyśle i rolnictwie produkować jaknajtaniej, przy największej oszczędności pracy ludzkiej z możliwie najwyższą korzyścią dla pracującej jednostki.

Dażność do technizacji wnika wszędzie jak fale elektro-magnetyczne i nie jej nie potrafi zahamować. Ulepszenia techniczne i organizacyjne stanowią jedyną drogę do tego, co jest dominującym pragnieniem mas w nowoczesnej cywilizacji, opartej na bogactwie i wyższej stopie życiowej.

Racjonalizacja w przemyśle prowadzi do koncentracji przedsiębiorstw i olbrzymich syndykatów handlowych obejmujących czasem kilka państw albo całe kontynenty.

W rolnictwie odbywa się pozornie ewolucja odwrotna od skoncentrowanych, wielkich obszarów, jednolite zagospodarowanych, do rozdrobnienia. Rozdrobnienie wielkich majątków wydaje się nie tylko zainteresowanym właścicielom tychże, albo grupie społecznej do której należą, gospodarczo nieracjonalne. Istnieje przecież ustalony pogląd, że tylko większe przedsiębiorstwa rolne są w możności kapitałowo i organizacyjnie stosować nowe zdobycze mechaniki, chemii, biologii rolnej.

A jednakże istnieje *pełna równoległość między ewolucją najnowszej techniki i ewolucją do możliwie indywidualistycznej gospodarki w samostnem gospodarstwie średnio-chłopskim*.

Wieś polska, na wschód od dawnej granicy pruskiej, jest w wyglądzie zewnętrznym niewątpliwie jeszcze przeżytkiem z okresu pańszczyźnianego. Kto jednak miał sposobność bywania na zgromadzeniach właścicieli ziemskich, poświęconych rozstrząsaniu zagadnień gospodarczych, ten musi dojść do przeświadczenia, że i w tej bądź co bądź zacofanej sferze przygotowują się bardzo silne i szybkie przemiany.

Mniejszy rolnik w środkowej Polsce nie używa prawie jeszcze motoru elektrycznego w domu, ani spalinowego w polu i zdaje się, że niema takiego, któryby do miasta jeździł swoim Fordem.

Ale niedługo tak będzie. Nasz mały rolnik ma ogromny pęd do ulepszonej mechaniki. Wystarczy być i tu i tam na praktycznym pokazie jakiejś ulepszonej maszyny, do której się z brakującej ciekawością dociskają gospodarze starsi i młodzi, a nawet dziewczęta, aby uwierzyć, że niech tylko powstaną wielkie centrale elektryczne, nieograniczające się jak dziś do *lichwiarskiej eksploatacji ośrodków miejskich*, to potworzą się tak samo, jak w Czechach spółki rozdzielu prądu i każde gospodarstwo będzie posiadać swój motorek do wszelkich prac domowych.

Nowe formy techniki, tak odpowiednie dla indywidualistycznej gospodarki, same w sobie nie oznaczają jeszcze przewagi małego gospodarstwa nad wielkim gospodarstwem rolnym i nie zapewniają mu dostatecznej wydajności. Indywidualnie mały rolnik jest w gospodarce wymiennej zupełnie bezsilny w zetknięciu z rynkiem zbytu. Nie posiada bowiem żadnej możliwości dotarcia do odległych rynków zbytu, czy to krajowych, a tembardziej zagranicznych, ani też dostatecznych informacji o kształtowaniu się cen. Wyłączna zależność od lokalnego rynku spożywczego i lokalnego pośrednika, naraża go zawsze na straty.

Dlatego *rolnictwo jest zmuszone wytwarzać sobie organizacje zbiorowe, które odpowiadają kartelom, syndykatom i trustom w przemyśle*. Współdzielczość w obecnej fazie rozwoju już zkollektywizowała, przynaj-

wydają się całkowicie uzasadnione — niemniej jednak kształtowanie się naszego bilansu handlowego wyraźnie wskazuje na pilną konieczność uprawiania jak najprzebieżniejszej polityki gospodarczej we wszystkich jej dziedzinach.

M. B.

mniej w zasadzie, wszystkie funkcje wymiennego gospodarstwa rolnego, dążąc do zbiorowego dostarczania środków produkcji w formie dóbr, czy też w formie kapitału, jak też do zbiorowego zbytu.

Dynamika współdzielczości w Polsce jest jeszcze bardzo daleka od dynamiki jaką zdołały rozwinąć kraje typowego gospodarstwa średnio-chłopskiego na północy Europy albo w Kanadzie, czy w Stanach Zjednoczonych. O tem, że cała produkcja i sprzedaż masła i świniny w Danii jest zsyndykalizowana na zasadzie spółdzielczej, już niema co mówić. Jest to nadto znane. Kanadyjski pool pszenicy jest organizacją spółdzielczą. W przeciągu pięciu lat zdołał ująć 65 procent wywozu pszenicy pod swoją kontrolę i jest dzisiaj bodaj najsilniejszym regulatorem cen i rozdziału pszenicy na rynkach światowych.

Jaką potęgą może się stać spółdzielczość handlowa rolnictwa, dowodzi zwołany ostatnio kongres „gigantycznej federacji” kupców wolnego handlu artykułami rolniczymi w Chicago *dla zwalczania niebezpieczeństwa spółdzielczego*. Jak dotąd spółdzielczość było trzeba usilnie propagować — dzisiaj fala propagandy zwraca się przeciwko niej, bo tu i tam ujęła prawie całe rolnictwo w swe karby, nie pozostawiając miejsca dla spekulacji.

Okazuje się zatem, że spółdzielnie kredytowe zakupów i sprzedaży, o ile obejmują większość rolników danego obszaru mogą tworzyć jednolity system i stać się praktycznie tworami o charakterze publiczno-prawnym, tak samo jak dzisiaj jest niemiecka „Stahlunion”, albo inne wielkie koncerty ciężkiego przemysłu.

Różnicę w formie, a nie w istocie, stanowi to, że cały system opiera się na drobnych, indywidualnych, samodzielnych jednostkach gospodarczych.

Ten nowoczesny kolektywizm zmagają nie tylko siłę materialną indywidualnego gospodarstwa, ale przede wszystkim zmienia psychikę jego właściciela. Przemiany takie dokonują się z zadziwiającą szybkością, chociaż bez rozgłosu. Oczuwicie, w tych warunkach staje się wszędzie nagłą potrzebą organizacja oświatowa w tym rodzaju, jakie już posiadają kraje skandynawskie. To, co u nas w tej dziedzinie zapoczątkowały sejmiki, zapowiada się wcale pięknie, jakkolwiek jest tylko surogatem tego, co już jest w Skandynawji. Wyższa oświata rolnicza uczy chłopów myśleć krytycznie i samodzielnie. Do tego nie wystarcza ani szkółka wiejska, ani też wyłączenie fachowa szkoła rolnicza. Dopiero dojrzewający młodzieniec może zdobyć światopogląd i zrozumienie zadań życiowych dostatecznie, aby nie tylko umieć orać i siewie hodować, ale orjentować się w całokształcie swoich interesów technicznych, rynkowych i społecznych. To jednak nie jest wcale odległą utopją i może być bliższe urzeczywistnienia, niż się to wydaje ogółowi inteligencji miejskiej.

Każdy przemysł jest tylko funkcją rolnictwa, obojętnie, czy jest usadowiony na wsi, czy w Łodzi, czy we własnym kraju, czy produkuje tylko dla własnego konsumenta, czy też obcego. Dokonywująca się wszędzie szybkiej czy powolniej przemiana techniczna i handlowa struktury agrarnej jest jedną z najżywniejszych kwestyj tak zwanego wielkiego przemysłu. Nie wszędzie zwraca się dostateczną uwagę na te zjawiska i nie wszędzie wysnuwa się właściwe wnioski na bliższą czy dalszą przyszłość. Programy produkcyjne można budować tylko na pilnej obserwacji tych zjawisk, często jeszcze mgławicowych. Jeżeli idzie o Polskę, to przy tej metodzie można sobie pozwolić na horoskopy wcale różowe co do wzrostu masowej konsumpcji wszelkich fabrykatów. Ale pod jednym warunkiem, że będą coraz lepsze i coraz tańsze.

Dotychczas zwraca się uwagę tylko na jedną stronę dokonywującej się przemiany strukturalnej — na dobrowolną, czy przymusową parcelację. Oczywiście, bo to jest rzecz najbardziej uchwytana. Parcelacja byłaby bezcelowa, gdyby nie dała się w ostatecznym wyniku przystosować do cywilizacji technicznej XX wieku. Dzisiaj już widzimy, a jeszcze bardziej wyczuwamy, że dokonywująca się przemiana struktury agrarnej zmierzająca do skrócenia odstepu rozwojowego, jaki powstał w ubiegłym wieku między przemysłem fabrycznym i rolnictwem prawie we wszystkich krajach starej, a zatem rutynicznej kultury rolnej. Wydaje się, że ta właśnie sprawa wycisnie najsilniejsze piętno na epoce, która się już zaczęła.

Troj.

OKAZJA HANDLOWA.

Związek eksportowy polskiego przemysłu włókienniczego komunikuje:

1) Firma Fathella E. Chidiac, Commission & Representation, Kair, skrzynka pocztowa 1824 pragnęłaby otrzymać zastępstwo fabryk polskich, produkujących wyroby wełniane i jedwabne.

2) Firma Gerloff & Co., Hamburg 3 poszukuje przedstawicielstwa fabryki produkującej koldry odpadkowe.

3) Pan Wiesław Kaczmarekiewicz, Toulouse 90 bis rue de la Concorde, pragnęłaby otrzymać przedstawicielstwo polskich fabryk wyrobów włókiennych na Tuluzę oraz okregi Południowej Francji.

4) Pan Leo Van Brussel, 57 St. Paule Churchyard Londyn E. C. 4. pragnęłaby zawiązać stosunki z fabryką, produkującą tanie towary ubraniowe męskie i damskie.

5) Pan Rudolf Slezak, Caire skrzynka pocztowa 1069, poszukuje przedstawicielstwa fabryk wyrobów włókiennych na Egipt, Palestynę, Syryję i Grecję.

6) Attaché Handlowy Poselstwa Rumuńskiego w Warszawie listem z dnia 22 maja r. b. Nr. 54, zawiadomił Związek Eksportowy, że wiadomości zamieszczone przez „Textil Zeitung” w Berlinie o tem, jakoby kupcy w Bukareszcie i Braile wystąpili o przyznanie im moratorium ogólnego, są w zupełności kłamliwe.

RYNEK PRACY W KWIECNIU 1928 R.

Na rynku pracy w ciągu kwietnia ujawniła się dalsza poprawa; liczba bezrobotnych, zarejestrowanych w P. U. P. P., zmniejszyła się ze 167.676 do 153.016, t. zn. o 8,7 proc. i jest nadal znacznie mniejsza, niż w odpowiednich okresach 2 lat poprzednich, jak to uwidoczniła poniższe zestawienie (według stanu w początkach miesięcy):

	1926	1927	1928
Styczeń	251.326	190.140	165.228
Luty	301.457	208.536	179.602
Marzec	302.179	213.592	178.403
Kwiecień	295.529	205.770	167.676
Maj	272.414	190.578	153.013

Bezrobocie więc w r. b., poczynając od lutego, stale się zmniejsza, przyczem tempo spadku staje się coraz żywsze. Sytuacja więc w tym zakresie rozwija się podobnie, jak w r. ub., z tą różnicą jedynie, że zmniejszenie się bezrobocia wystąpiło w r. b. o miesiąc wcześniej, niż w latach ubiegłych; poza tem podkreślić należy, że analogicznie jak w r. ub., spadek bezrobocia jest wywołany przez 2 grupy przyczyn; z jednej strony oddziałują więc zwykłe momenty sezonowe, jak wzrost zatrudnienia w rolnictwie, na robotach ziemnych, budowlanych i t. p., dalej zmniejszanie się rezerwy rąk roboczych nasłutek ożywienia w tym okresie emigracji, zwłaszcza na roboty rolne, z drugiej strony — proces zwiększania się zatrudnienia w produkcji polskiej. Ta ostatnia przyczyna powoduje, że mimo silnego przyrostu naturalnego i nieznacznej stosunkowo emigracji liczba bezrobotnych — abstrahując od wahań sezonowych — od 2 lat stale ujawnia tendencję znikową.

KURSY DOKSZTAŁCENIA SANITARNEGO DLA NAUCZYCIELSTWA SZKÓŁ POWSZECHNYCH.

Wzorem lat ubiegłych odbędą się w Państwowej Szkole Higieny (Warszawa, Chocimska 24) dwa kursy wakacyjne: I-szy od 9—28 lipca, II-gi od 6—25 sierpnia r. b.

Każdy kurs będzie obejmował 4 działy: 1) nauk przyrodniczych (biologię, anatomję i fizjologję, bakterjologję i naukę o odporności, higienę odżywiania, higienę pracy umysłowej), 2) metodyki nauczania higieny i wychowania higienicznego, 3) higieny publicznej (uzdrowotnienia miast i wsi), higienę bytunku szkolnego i jego otoczenia, 4) higieny społecznej (zwalczanie ostrych chorób zakaźnych, gruźlicy alkoholizmu i innych klęsk społecznych, higiena dziecka i pielęgniarstwo społeczne).

Dla pewnej liczby (do 60) słuchaczy(ek) każdego kursu, którzy nie będą mogli znaleźć pomieszczenia w lokalach prywatnych w Warszawie, Dyrekcja Państwowej Szkoły Higieny rezerwuje lokale burs, gdzie pobyt całodzienny w warunkach bardzo dogodnych, łącznie z żywnością, wynosić będzie 5.50 gr. dziennie. Nauczanie na kursach jest bezpłatne.

Zgłoszenia na formularzach kart wpisowych na kursy wakacyjne kandydaci winni przesyłać przed dniem 10 czerwca roku 1928 za pośrednictwem Inspektoratów Szkolnych do Dyrekcji Państwowej Szkoły Higieny, zaznaczając na karty z tych kursów reflektują i czy proszą o zapewnienie im bursy.

Wraz z kartą wpisową kandydat winien złożyć w biurze Inspektora Szkolnego 10 (dłiesięć) złotych wpisowego.

O zakwalifikowaniu na kurs oraz o ewentualnym przyjęciu do bursy kandydaci zostaną powiadomieni za pośrednictwem Inspektoratów Szkolnych do dnia 20 czerwca roku 1928.

Rynek pieniężny i giełda

Brak większych zleceń zagranicznych, wiadomości o osłabieniu na giełdach amerykańskich i europejskich oraz małe zainteresowanie ze strony kulis, wytworzyły w tygodniu ubiegłym na naszym rynku akcyjnym nastroj spokojny. Kursy papierów wykazywały znacznie mniejsze fluktuacje, aniżeli w tygodniach poprzednich. W grupie bankowej poszukiwany był nadal Bank Polski, inne efekty bankowe były naogół nieruchliwe. — Z akcji przemysłowych dość duże obroty robiono „Ostrowieckimi”, akcjami Tow. Kopalni Węgla (w środku tygodnia silnie zwiększyły), „Starachowicami” i „Parowozami”. Te ostatnie osiągnęły dzięki zakupom krajowym i zagranicznym, poważną wyżkę. Mocną tendencję miał „Haberbusch”, który w ostatnich dwóch tygodniach podniósł się przeszło 13%. Przyczyną wzrostu tych akcji, jest wysoka dywidenda za rok ubiegły. Sp. akcyjna „Haberbusch i Schiele” osiągnął bowiem zysk złotych 3.738.984,01 przeznaczony z tego po odpisaniu na kapitały rezerwowe, zapasowy i amortyzacyjny — złotych 1.355.336,60, a na podatek dochodowy złotych 698.000 — na dywidendę zł. 900.000, czyli 15%, od kapitału akcyjnego, na tantjeme zaś dla rady, zarządu i pracowników zł. 813.120. Walne zgromadzenie postanowiło podnieść kapitał zakładowy towarzystwa z 6.000.000 na 12.000.000 zł.

W ostatnich czasach odbyły się walne zgromadzenia akcjonariuszów również i w innych towarzystwach. Ze sprawozdania złożonego na walnym zgromadzeniu akcjonariuszów Elektrowni Okręgowej w Zagłębiu Dąbrowskim S. A. wynika, że czysty zysk tego towarzystwa za rok ubiegły wyniósł zł. 671.260,09; uchwalono wypłacić dywidendę w wysokości 8% od kapitału akcyjnego.

Fabryka ołówków Stanisław Majewski i Sp. S. A. wypłaca akcjonariuszom za rok 1927 dywidendę w kwocie zł. 5,25 od akcji.

Czysty zysk bilansowy Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń S. A. wyniósł zł. 742.613,58. Z sumy tej przeznaczono na dywidendę dla akcjonariuszów zł. 240.000, czyli 8% od każdej akcji o nominalnej wartości zł. 50, na fundusz wyrównawczy złotych 84.078,49, na specjalną rezerwę gradową zł. 100.000, na tantjeme zł. 60.000, a resztę, t. j. zł. 258.535,09 przeniesiono na r. 1928.

Zysk netto Syndykatu Rolniczego Warszawskiego S. A. za rok ubiegły wyniósł złotych 70.078,04; z zysku tego wydzielono dywidendę w wysokości 2 i pół procent od kapitału zakładowego, wynoszącego 2.000.000 zł. —

Z czystego zysku S. A. „Gazolina” we Lwowie, wynoszącego zł. 460.380,42 wyznaczono 20% dywidendę. Czysty zysk Zjednoczonych Hut Królewska i Laura w wysokości zł. 1.353.077,88 przeniesiono na rok 1928, a to ze względu na potrzeby renowacyjne zakładów.

Pożyczki państwowe w tygodniu sprawozdawczym większych odchyłań nie wykazały. Mocne usposobienie miała w dalszym ciągu 5% Prem. Poż. Dolarowa. Listy zastawne miały tendencję niejedolitą, przeważnie niżkową.

Obrotów na giełdzie dewizy wynosił przeciętnie 500.000 dolarów dziennie. Całe zapotrzebowanie pokrywał prawie wyłącznie Bank Polski. Zapas walut i dewiz tej instytucji zmniejszył się w drugiej dekadzie maja znowu o 10.532.825 do kwoty 547.709.378 zł. Zapas kruszców wzrósł minimalnie o 144.771 do 568,5 milionów. Stan obu tych pozycji wyrażał się na dzień 20 maja r. b. razem kwotą 1.116.225.726 zł. Waluty, dewizy i należności zagraniczne niezaliczone do pokrycia zmniejszyły się o 3,9 do 214,2 milj. zł. Portfel weksłów wzrósł znowu znacznie, gdyż o 26.157.906 do kwoty 545.448.113 zł., natomiast pożyczki zabezpieczone papierami zmniejszyły się o 8 milj. do 55,8 milj. zł. Natomiast platne zobowiązania zwiększyły się o 9.495.761 do zł. 610,5 milj., natomiast obieg banknotów zmniejszył się o 7,3 do 1 miljarda zł. Obie te pozycje stanowiły dnia 20 maja b. r. łącznie kwotę 1.697.439.869 zł.

Dolary notowano w okresie sprawozdawczym oficjalnie 8,89—8,88 i pół, prywatnie zaś 8,89 i ćwierć — 8,88½, dewizy na New-Jork 8,88. Podaż dolarów była większa, wskutek czego miały one tendencję niżkową. Transakcje kablem na New-Jork zawierano między bankami przeważnie na 8,91½.

W grupie dewiz europejskich miał mocne usposobienie Londyn, notowany ostatnio 43,53 i ćwierć. Pomimo bowiem podniesienia przez nowojorski Federal Reserve Bank stopy dyskontowej z 4 na 4 i pół%, utrzymuje się waluta angielska w stosunku do dolara na wysokim poziomie. Przyczyną tego zjawiska są przede wszystkim wielkie zakupy robione przez Amerykę w dziele brytyjskich papierów państwowych i akcji przemysłowych, pozatem wzmocniony ruch podróźniczy, który przynosi Anglii w sezonie wiosennym i letnim poważne dochody. Oszacowa-

wano, że w ostatnim roku podróżni amerykańscy wydali w Anglii przeszło 100.000 funtów szterlingów.

Inne dewizy europejskie notowano w środku tygodnia następująco:

Holandja 359,90, Paryż 35,10 i pół, Praga 26,41 i pół, Szwajcaria 171,81,34, Sztokholm 239,25, Bruksela 124,42, Medjolan 46,98 i pół, Wiedeń 125,47, Berlin 213,47, Gdańsk 174,00.

Czerwonice sowieckie były w dalszym ciągu słabe. Płacono za nie 2,65—2,70 dolarów. Transakcje rublami złotymi przeprowadzano na 4,71 i pół—4,72 zł. Awil.

SYTUACJA NA RYNKU BAWELNY.

W końcu tygodnia sprawozdawczego ceny w Liverpoolu wykazały lekką wyżkę. Tygodniowy raport meteorologiczny nie był tak korzystnym, jak ogólnie oczekiwano, mimo, że posucha w Texas nieco ustąpiła. W Oklahama natomiast nasiona zupełnie zostały zmyte. Naogół jednak sytuacja co do nowych zbiorów przedstawia się korzystnie. Deszcze spadły tylko tam, gdzie były b. pożądane. Temperatura, która dotychczas była bardzo niska podniosła się do normy, pożądanej dla rozwoju roślin. Prace na plantacjach zostały ukończone i więcej niż połowa zbiorów jest w stanie dojrzewania. Coprawda sezon nieco późno się rozpoczął, ale okoliczność ta może być sparyalizowana, o ile pogoda dopisze. W ciągu tygodnia mówiono o działalności owadów w Oklahama, Georgia i zachodnim Texas, jednak chwilowo nie należy do czynników tego przywiązywać zbyt wielkiej wagi. Groźba ta będzie dopiero odgrywała rolę w późniejszym terminie. Co do ogólnej sytuacji rynkowej, to zmiana nie jest zbyt znaczna, aczkolwiek wypadki w Chinach ukształtowały się korzystnie, a Lancashire

otrzymało w ostatnich dniach z Chin szereg zapytań na sukno. Z drugiej strony sytuacja robotnicza nie jest wyjaśniona. Naczelny komitet przedziałników odbędzie zebranie, na którym będzie ogłoszony rezultat w sprawie płac. MS.

SZKOŁA SPÓŁDZIELCZA.

Wzmagający się ruch spółdzielczy odczuwa powszechnie brak wykwalifikowanych ludzi do roboty spółdzielczej. Chodzi tu o spółdzielców o średnim wykształceniu, którzyby poza kwalifikacjami zawodowymi posiadali głębokie zrozumienie dla wzniosłej idei spółdzielczości, by wysoko dzierżyli sztandar etyki w życiu spółdzielczym, orazby umieli myśl spółdzielczą wcielić w życie codziennem, pielęgnować ją i szerzyć ku pożytkowi i na przykład współczesnych pokoleń.

O takich założeniach docelowych powołano w Jarosławiu do życia szkołę spółdzielczą. Założona z inicjatywy szerokiej bazy spółdzielczej ziemi jarosławsko-rzeszowskiej daje gwarancję, że szkoła odda sprawie spółdzielczej niemałe usługi.

Szkoła spółdzielcza trwa jeden rok i opiera się na przedwstępnym wykształceniu handlowym. Warunkiem wstępu jest ukończenie trzyletniej średniej szkoły handlowej, której szkoła spółdzielcza jest niejako dalszym przedłużeniem studiów zawodowych w kierunku specjalnym.

W program nauki wchodzi historia spółdzielczości, rachunkowość, handel rolniczy, nauki społeczne i polityczne, towaroznawstwo branżowe, rewizja ksiąg, organizacja i technika pracy spółdzielczej i społecznej połączone z rozjazdami po spółdzielniach z referatami, odczytami i t. p. Są i języki obce, język ojczysty i inne przedmioty ogólnie kształcące.

Przy szkole spółdzielczej prowadzone będą nadto kursy spółdzielcze dla kandydatów o niższym cenzusie i dla pomniejszych celów.

Blizszych informacji o organizacji szkoły i wpisach udziela Dyrekcja szkoły handlowej w Jarosławiu (Małopolska).

Warszawskie Towarzystwo Ubezpieczeń

Sp. Akc.

57-me Zwyczajne Walne Zgromadzenie Akcjonariuszów Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń S. A. odbyło się w dniu 24 maja 1928. Zebranie zajął Prezes Towarzystwa p. Antoni Wieniawski, którego jednomyślnie wybrano na przewodniczącego Zgromadzenia.

Ze złożonego w imieniu Rady sprawozdania wynika, iż sprawa interesów Towarzystwa, która się zaczęła w 1926, utrwaliła się i znacznie wzrosła w roku 1927. Rezultat operacji we wszystkich działach — z jedynym wyjątkiem działu gradowego — był bardzo dobry. Znamienny jest zwłaszcza spadek procentu szkód w dziale ogniowym. Procent ten w stosunku do zebranej składki w roku 1925 wynosił 83,5 proc., gdy w roku 1927 tylko 49,7 proc. Tak znaczna poprawa nie jest dziełem przypadku, lecz rezultatem świadomości i konsekwentnie przeprowadzanego doboru ryzyk. Należy ponadto pamiętać, że działalność w interesie ogniowym była specjalnie trudna przez to, że Polski rynek ubezpieczeniowy stał się w ostatnich czasach widownią bardzo ostrej walki konkurencyjnej. Pomimo takich trudności Towarzystwo umiało utrzymać wszystkie przedwojenne stosunki. Zawdzięcza to staraniom o wszechstronne zadowolenie klientów nawet w dobie najcięższego kryzysu ekonomicznego, jaki kraj przeżywał.

W dziale pośrednim, t. j. reasekuracji przyjmowanej, Towarzystwo utrzymuje stosunki z najpoważniejszymi instytucjami Europy, między innymi z największymi Towarzystwami angielskimi i zbiera stąd składkę, której suma dorównywała sumie składki zbieranej bezpośrednio w kraju. Dział ten dał wynik nader pomyślny, co pozwoliło podwyższyć jego rezerwy techniczne, a ponadto wykazać znaczny zysk. Stało się to głównie dzięki poprawie stosunków gospodarczych we wszystkich krajach Europy. Jak już wspomniano wyżej, inne działy (kradzież, transport) miały przebieg pomyślny; jeden tylko dział gradowy przyniósł stratę, spowodowaną przyczynami żywiołowymi, działającymi w roku 1927 z jednakową mocą w całej prawie Europie. Pragnąc się zabezpieczyć na przyszłość w tym dziale, Towarzystwo rozpoczęło tworzenie rezerwy na ewentualne straty gradowe w następnych latach i już z zysku roku sprawozdawczego wyznaczyło na ten cel sumę zł. 100.000.

W roku 1927 Towarzystwo przeniosło do kraju znaczną część swych funduszy, dotąd ulokowaną w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, co po-

zwoliło mu nabyć polskie papiery procentowe na sumę z. 2.000.000.

Czysty dochód z majątku Towarzystwa wyniósł ok. 500.000, t. j. o 60.000, zł. więcej, niż w roku 1926. Towarzystwo oczekuje bardzo wydatnego wzrostu tej pozycji w roku bieżącym.

Ogólny wynik roku sprawozdawczego wykazuje czysty zysk bilansowy w sumie zł. 742.613,58, z sumy tej przeznaczono: na dywidendę dla akcjonariuszów 240.000 zł. (6 proc. dywidendy statutowej zł. 180.000 i 2 proc. dywidendy dodatkowej zł. 60.000, czyli razem 8 proc. od każdej akcji o nominalnej wartości zł. 50); na fundusz wyrównawczy zł. 84.078,49; na wspomnianą wyżej specjalną rezerwę gradową zł. 100.000; na tantjeme zł. 60.000, a resztę, t. j. zł. 258.535,09 przeniesiono na rok następny.

Stan funduszy gwarancyjnych Towarzystwa wynosi obecnie zł. 10.687.122.

Podobnie jak w latach poprzednich papiery wartościowe zagraniczne nie były w bilansie przeszacowane, lecz pozostały podług obliczenia parytetowego kursów walut obcych. Również nie zostały przeszacowane nieruchomości Towarzystwa, których obecna wartość rynkowa bardzo znacznie przewyższa ich ocenę bilansową.

Zasoby te stanowią dostatecznie silny fundament dla operacji Towarzystwa i zapewniają mu wyjątkowo stanowisko wśród polskich zakładów ubezpieczeniowych.

Walne Zgromadzenie zatwierdziło bilans i sprawozdanie za rok 1927 jak również wszystkie pozostałe punkty porządku dziennego obrad.

Po dokonaniu wyborów do Rady Zarządzającej na miejsce członków ustępujących wskutek ukończenia kadencji oraz po zatwierdzeniu dokonanych przez Radę kooptacji, obecny skład Rady Zarządzającej Towarzystwa przedstawia się jak następuje: p. Antoni Wieniawski — prezes; pp. Kazimierz Natanson i Karol Wilhelm Scheibler — wiceprezesi; pp. Stanisław hr. Czaclki, prof. S. Dickstein, dyrektor A. Einhorn, Szambelan Michał Karcki, b. Minister Czesław Klarner, dyrektor Ludwik M. Kronenberg, senator Stefan Laurysiewicz, Henryk hr. Potocki, finansista Michał Szereszowski, b. senator Tadeusz Szuldrzyński, dyrektor naczelny Centralnego Związku Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów Andrzej Wierzbicki i prezydent Ziemstwa Poznańskiego Józef Żychliński — członkowie Rady.

Krótkie wiadomości gospodarcze

Ogólna ilość wystawców na tegorocznych Targach Poznańskich wynosiła 1620. W ostatnich 4-ach latach wzrost wystawców przedstawia się w następujących cyfrach: 1925 — 920, 1926 — 1400, 1927 — 1450. Udział zagranicy wynosił 459 wystawców, t. j. blisko 40 procent wystawców krajowych. Ten procent wystawców zagranicznych jest jednym

z najwyższych w targach w Europie. Waga przywiezionych przez zagranicznych wystawców wzorów wykazuje również wzrost, świadczący o zainteresowaniu rynkiem polskim. I tak, w cyfrach przedstawia się następująco: 1926 — 75.480 kg., 1927 — 240.110 kg., 1928 — 56.524 kg.

Brytyjski kanclerz skarbu, Churchill, postanowił zwolnić niektóre gałęzie produkcji przemysłowej od ¼ części komunalnych cje-

zarów podatkowych. Do tych gałęzi należy również przemysł bawełniany. Ponieważ obciążenie podatkowe przeciętnej fabryki bawełnianej o 100.000 wrzecionach wynosi rocznie 1800 funt. szterlingów, to zwolnienie z ¼ podatku oznacza ulgę w wysokości 1350 funt. szterlingów. Przy ogólnej ilości 57.000.000 wrzecion wszystkich angielskich przedziałni bawełny oznaczałoby to oszczędność 169.000 funtów szterlingów.

Po raz pierwszy od czasu zerwania angielsko-rosyjskich stosunków dyplomatycznych udzielone zostały większe zamówienia ze strony Rosji na dostawę angielsk. fabrykatów. Chodzi o zamówienia na maszyny tekstylne wartości 1,2 miliona funt. szterlingów, które udzielone zostały 3 angielskim fabrykom maszyn; nadto dwie elektrotechniczne firmy w Anglii i Szkocji otrzymały zamówienia na urządzenie dwóch mniejszych centrali elektrycznych na granicy syberyjskiej, łącznej wartości 1.000.000 funt. szterlingów, urządzenie centrali dla światła i siły w Leningradzie i elektryfikację fabryki mydła w Moskwie.

Konferencja banków emisyjnych w Paryżu w obecności prezesa nowojorskiego Federal Reserve Banku mają na celu przygotowanie rozmiaru dalszych transakcji złotem między N. Jorkiem a Francją oraz kwestię utworzenia francusko-rumuńsko-jugosłowiańskiej unii walutowej. Według pogłosek, Bank Angielski zgadza się na utworzenie takiej unii.

W ostatnich dniach na międzynarodowych giełdach, zarówno w Ameryce, jak i w Europie, uwydatnił się wyraźny ruch niżkowy. Najsilniej zaznaczył się w Paryżu i Brukseli, natomiast w N. Jorku mniej się ujawnił, gdyż straty na kursie od 5 do 20 dolarów za akcję oznaczają wobec wysokiego stanu kursu tamtejszych akcji procentowo nieznaczną niżkę. Także i giełda berlińska nie została oszczędzona tym ruchem niżkowym, aczkolwiek tam spadek kursów nie przybrał form tak krytycznych, jak w Paryżu i Brukseli.

Według urzędowych wiadomości, miasto Berlin zawarło umowę z amerykańskim koncernem bankowym o zaciągnięcie pożyczki zagranicznej w wysokości 15.000.000 dolarów. Pożyczka jest oprocentowana na 6 od sta i ma być umorzona w ciągu 30 lat. Kurs wypłaty wynosi 92½ procent przy kursie emisyjnym 95 procent.

Interesującą pozycję w amerykańskiej statystyce handlowej stanowi cyfra wywozu gumy do żucia. Od 1919 roku aż do chwili obecnej eksport gumy wzrósł z 200.000 na 2 miliony dolarów rocznie, co dowodzi, jak wielu zwolenników znalazło żucie gumy, które najpierw wprowadzone zostało we Francji przez amerykańskich żołnierzy.

W ubiegłym tygodniu kurs akcji węgierskiej fabryki zapałek „Szikra” podniósł się o 30 procent. Jak donoszą zwyżka ta jest skutkiem tego, że uświadomienia szwedzko-amerykańskiego trustu zapałczanego, w kierunku osiągnięcia monopolu zapałczanego na Węgrzech, należy uważać za bezprzedmiotowe i że projekt ustawy o regulowaniu produkcji zapałek w najbliższym czasie znajdzie się na plenum parlamentu. W myśl ustawy tej, ceny zapałek mają w przyszłości być ustanowione przez Ministra Skarbu w drodze rozporządzenia. Przed krótkim bowiem czasem szwedzko-amerykański trust zapałczany nabył fabrykę zapałek w Pesterzsebet i przez swoje niskie ceny zmusza resztę fabryk zapałek do pracowania również ze stratą. Po przejściu planowanej ustawy węgierskiej fabryki zapałek będą chronione przez ochronę ceny ze strony rządu przed konkurencją szwedzko-amerykańskiego trustu.

MOTORY

elektr. na wszelkie wielkości i obroty

Sprzedaż i zamiana. :: Najtańsze źródło.

Warsztat reparacyjny. Naprawa i przewijanie.

Inż. J. Relcher i S-ka

ul. Południowa Nr. 28. Telefon Nr. 30-00.



Listy do „Prawdy”

TELEFONY ŁÓDZKIE.

Funkcjonowanie telefonów łódzkich jest w sensie negatywnym z całą pewnością zgola rekordowe. Męka czekania na odezwanie się stacji po podniesieniu słuchawki przez abonenta, zawsze dokuczliwa, stała się w ostatnim czasie poprostu nie do zniesienia. Czas czekania określa się już nie w dziesiątkach sekund, lecz w całych minutach. Mamy tu do czynienia z jednym z dwojga: albo z niepojętym niedołęstwem kierownictwa technicznego i administracyjnego, albo ze złą wolą i sabotażem ze strony obsługującego stację personelu. Ponieważ tę ostatnią alternatywę wykluczamy, bo z całą wiarą przyjmujemy zapewnienia pań telefonistek, które w odpowiedzi na wyrzuty oświadczają, że są tak obciążone, iż rady sobie dać nie mogą, przeto nie pozostaje nic innego, jak alternatywa pierwsza. Trzecia bowiem ewentualność: wadliwość urzędowania stacji, wykluca się sama przez się przez fakt, iż nigdy nie trzeba tak długo czekać na odezwanie się stacji jak w dniach i godzinach, w których obciążenie jej jest naturalnie najmniejsze, więc wieczorem i w dni świąteczne. Gdyby tylko wadliwość urzędowania stacji stała na przeszkodzie sprawnej obsłudze, to przecie wieczorem i w święto nie należałoby czekać minutami całymi na odezwanie się pani telefonistki! Ponieważ jednak właśnie wieczorem i w święta czeka się najdłużej, przeto wynika z tego wniosek, że kierownictwo czyni mimo pobieranych wysokich opłat niewczesne oszczędności na nerwach abonentów. A z tego dalszy wniosek, że nie innego, jak te właśnie oszczędności są powodem stałego wadliwego funkcjonowania stacji.

Gdzież jest owa poprawa warunków, którą przyrzekała P.A.S.T. przy wprowadzaniu liczników?

PORZĄDKI NA KOLEJACH.

Powszechnie wiadomym jest, że w okresach świątecznych, a zwłaszcza w okresie Zielonych Świąt, mieszkańcy miast starają się spędzić czas poza miastem i chociaż przez kilka dni oddychać innym powietrzem. Nic też dziwnego, że zwłaszcza łodzianie, zmuszeni oddychać przez cały rok powietrzem, przesyconym dymem i sadzą, korzystają z każdej sposobności, by móc zaczerpnąć świeżego powietrza. Również powszechnie wiadomym jest, przynajmniej w Łodzi, że Łódź pod każdym względem jest traktowana przez nasze czynniki decydujące bodaj że nie gorzej od jakiejś Kiernozki lub Pacanowa. Do tysiącznych przykładów w tej dziedzinie pragnę dołączyć jeszcze jeden, gdyż wychodzę z założenia, że winę macoszego traktowania łodzianie muszą przypisać po części i sobie, znosząc spokojnie wszystkie karykaturalne dolegliwości.

Podczas Zielonych Świąt byłem w Toruniu, gdzie odbywał się Zjazd Adwokacki; jednocześnie także w Toruniu odbywał się zjazd Towarzystw Śpiewaczych. Już to samo winno było władzom kolejowym nasunąć myśl o zwiększonym ruchu na węzle toruńskim, zwłaszcza, że zjazdy te odbywały się w okresie świąt, kiedy i bez zjazdów ruch pasażerski jest znacznie wzmożony. To też w poniedziałek 28-go maja w pociągu, wychodzącym z Torunia o 4.20, znalazł miejsce było trudno i pasażerowie z biletami I-ej klasy zajmowali miejsca stojące; ale niczy to nie szkodziło, bo nasze koleje potrafiły tak dalece wychować swoich pasażerów, że są nawet wdzięczni, że za ich pieniądze koleje wogóle łaskawie ich przewożą, i taki drobiazg, jak stanie w wagonie, uważają za naturalny. Natomiast rzeczy nieprawdopodobne, za które ktoś przecie powinien ponosić odpowiedzialność, zaczęły się na stacji węzłowej w Kutnie, przy pociągu, odchodzącym do Łodzi. Pociąg ten zabiera pasażerów z kilku pociągów, a składa się z małej ilości wagonów, wśród których jeden wagon II-ej klasy z jednym przedziałem I-ej klasy. Nic więc dziwnego, że w każdym przedziale bez różnicy klas liczba pasażerów przekraczała trzykrotnie liczbę miejsc, bo np. w przedziale I-ej klasy znajdowało się 16 osób. Zawiadowca stacji Kutno i konduktorzy co prawda dawali pasażerom zbawienne rady, by poczekać na pociąg następny, który odchodzi o dwie godziny później, przytem jednakże panowie ci nie gwarantowali, że w następnym pociągu miejsce dla nich się znajdzie. Rozumie się, że wobec tego nikt z tych pomyslowych rad nie skorzystał i z trudem, jak powiedziałem, 16 osób w przedziale, pasażero-

wie wyruszyli w drogę. Na następnych stacjach, a zwłaszcza w Łęczycy, już działy się sceny dantejskie, dochodzące do awantur, połączone z krzykami kobiet i dzieci. Służba kolejowa zmuszona była wagony zamknąć na klucz, gdyż tylko tym sposobem można było uniknąć zaduszenia kilku osób w przedziałach. Jednakże część pasażerów pozostała na schodach podczas zimna i ulewnej deszczu. Dla urozmaicenia tej wesołej podróży, w wagonie II-ej klasy zapaliła się oś i wagon ten został w Ozorkowie odczepiony, a pasażerowie, korzystając z uprzejmości służby kolejowej, zostali przeniesieni do wagonu służby, t. zw. brankardu. O ilości osób w brankardzie świadczy fakt, że nikt nie był w stanie usiąść, chociażby na własnych walizkach, gdyż walizki musiały być złożone jedna na drugą, by pasażerowie mogli stać. A tak łatwo było można wszystkiego uniknąć i zachować tak powszechną maksymę kupiecką, że za wzięcie pieniędzy należy dać odpowiedni towar! Bo przecie władze kolejowe wiedziały o tem, że są święta, że będzie wzmożony ruch pasażerski, że więc na takiej węzłowej stacji jak Kutno, należy posiadać choć kilka wagonów, które w razie potrzeby można byłoby doczepić. Prawdopodobnie na innych liniach władze kolejowe to uczyniły, bo trudno podejrzewać, by nieudolność była tak powszechna. Ale że w danym wypadku chodziło o pasażerów łódzkich, więc wszystko odbyło się według starego przyjętego porządku i utar tym trybem.

Adv. St. P.

SA JESZCZE LUDZIE DYSKREJNI.

P. Józef Leszczyć zgronił nas w „Epoce” z dn. 24 z. m., zatem zapóźno już, by otrzymać odprawę w poprzednim numerze „Prawdy”.

P. Józef Leszczyć jest studnią informacji: zna archiwa sądowe, sprawozdania inspektorów pracy, a nawet tajne i krnąbrne rewolucyjne okólniki związków przemysłowych, — ale wszystko to chowa zazdrośnie dla siebie. P. Józef Leszczyć mógłby nawet adowodnić, że przemysłowcy solidarnie i planowo sabotują szereg ustaw obowiązujących — ale nie udowodnia tego. Bo p. Józef Leszczyć jest wybitnie dyskretny i nie chce nikomu szkodzić. A szkoda, bo przecie ciekawym byłoby wywlec na światło dzienne groźny ten spisek. Zwłaszcza rewelacyjne byłoby owe podburzające okólniki związków.

Ale p. Józef Leszczyć woli chować te skarby dla siebie i tylko dawać do zrozumienia, że je posiada — tak samo, jak związki robotnicze, które nigdy jeszcze podobnych twierdzeń swoich udowodnić nie potrafiły.

Ale bo też p. Józefowi Leszczyćowi o te sprawy wcale nie chodzi. Jemu chodzi o coś zupełnie innego: inspekcje pracy nie stanowią dostatecznej rejonji przestrzegania ustaw obowiązujących przez krnąbrny przemysł. Trzeba koniecznie, by na straży ustaw postawione zostało przymusowo uznane przedstawicielstwo robotnicze.

Ale „Epoka” nie jest organem obozu wyrotowców.

W. P.

Kwiatki

KATON.

W „Kurjerze Podhalańskim”, wychodzącym w N. Sączu, znajdujemy recenzję z przedstawienia teatralnego w Domu Żołnierskim. Sprawozdawca kończy swoje uwagi w ten sposób:

Grający mieli swój dobry dzień, niektórzy z nich stworzyli naprawdę dobre postacie, inni może trochę je przejęskrawili, jednak całość wypadła nadszpedzanie. Zapewniam, że wyszedłem z przedstawienia dobrze nastrojony i byłbym to samo napisał, nawet, gdyby panna Frania nie posłała mi kalusa, bo i cóż on znaczy z takiej odległości, a zresztą powiem „kubanów” nie biorę. Bo co dobre, to pochwałę, a co złe, to zganię. Nawet całus prawdziwy mnie nie przekupi. — kropka.

A więc jest jeszcze krytyka bezstronna. Jest wśród krytyków mąż prawy — którego nie ima się żadna pokusa, nawet gdy jest dobrze nastrojony. Szkoda tylko, że aż tak daleko, w Nowym Sączu. A swoją drogą ta „panna Frania” jest niezdara. Kto to widział tak otwarcie — ze sceny na oczach całej publiczności, trzy kropki.

LISTY Z PODRÓŻY

Manja podróżowania — Sojusz Polski z Norwegią — Kawka wiedeńska — Wieczne a niezienne — Spotkanie w Genui — Nice — Międzynarodówka — „Koktaje” i tysiącfrankówki — Anegdota o mylordzie — „Jaskinia gry” — Jak się pan ma, panie Kon! — Piękna nieznajoma — C'est la vie!

* * *

Kto dziś nie podróżuje?! Nie masz ani dydka — fotografujesz się we wszystkich pismach jako ten, co podróżuje naokoło świata bez pieniędzy, ubierasz się cudacznie, pożyczasz tysiąc złotych (na wszelki wypadek) i... tłuczysz się trzecią klasą chociażby do Paryża. Uciułałeś grosiwa trochę — wzdychasz, że przez miesiąc wydasz wszystko, coś latami odkładał, ale jedziesz. Ludzi, ba, narody ogarnęła gorączka podróżowania. Z miejsca na miejsce, zobaczyć na własne oczy, usłyszeć, dotknąć. Spojrzeć na naród, który zabijał moich braci lub który moim braciom do zabijania pomagał.

Cóż mnie chudzinie pokusie się bronić?! Czy w kraju pisać będę czy poza nim, redakcja i tak w wypłacie zalegnie. Spojrzałem na zeuropeizowaną reklamami świetlnymi Marszałkowską, na trzepoczącego desperacko pałeczka policjanta warszawskiego... Bądź zdrowa, Warszawo! Kocham cię bardzo, ale widzisz... gorączka podróżowania. Starym szlakiem na Wiedeń, Wenecję, riwje re włoską do Nice. Zagrać stare kości, prze patrzeć znajome kąty, w kochanem, szerokim morzu mewy wygapić.

W wagonie jadącym skwapliwie pojadam zakąski przed obiadem, patrząc w międzyczasie na krajobraz jeszcze polski. Mój sąsiad na vis-à-vis uśmiecha się porozumiewawczo. Ki diabell! — myślę, warjat czy cudzoziemiec? swój naburduczylby się, wsadził nos w talerz i od czasu do czasu spozirzał z podebą. Przy kawie i likierach doszliśmy do zupełnego porozumienia. Mój sąsiad był jednym z chorych na gorączkę podróżowania. Wysoki, barczysty, ogorzały Norweg jechał do Pragi Czeskiej. W Europie pozostała mu tylko do zwiedzenia Czechosłowacja, no i Rosja, ale do Rosji ma zamiar jechać wtedy „kiedy będzie można z niej wracać”.

Przegadaliśmy parę godzin, posługując się niemieckim i francuskim. Zwierzył mi się mój Norweg, że nigdy nie wraca tam, gdzie już raz był, prócz trzech miejsc, które uważa za najpiękniejsze na świecie: Zanzibar, Tokio i Rio de Janeiro. Polska podobala mu się, ale (przeprasza mnie bardzo) „papierosy macie nieszczególnie”. Przyznałem mu ze smutkiem rację.

W Wiedniu być i kawy się nie napić?! Grzech śmiertelny do nieba o pomstę wołający. Wymknąłem się z wagonu i chyci do restauracji na dworcu. Czysciutko, porządnie, buleczki chrupią, kawunia aż się prosi o wypicie. Cóż bo biednej Austrii pozostało, ot: Prater, bielizna wiedeńska, walce, te buleczki chrupiące, no i wiedenki jak zawsze szkodliwe... A z K. und K. armji 10,000 żołnierza. Mundurów więc nie widać prawie wcale. Zginęły na zawsze te przedwojenne, smukłe figurki oficerów austriackich, znane tak dobrze warszawiakom... z operetek, a jak dzisiaj, filmów.

Co innego po przejeździe granicy włoskiej. Rzuca się w oczy moc patroli wojskowych. Na każdej stacji aż czarno od czarnych koszul. Zda się być za ciasno Włochom na półwyspie, za duszno. Chcieliby więcej powietrza i przestrzeni. Ha, qui vivra-verral!

Wagon restauracyjny powoli zmienia swe oblicze na więcej międzynarodowe. Wpadają w ucho szorstkie, chrapliwe jagotania Anglików, charkotanie Niemców, śpiewne przeciągania Włochów, wesołe szczebiotanie Francuzów. Na tle tej wieży Babel odcina się wyraźnie dźwięk naszej mowy w ustach młodej pary, najwidoczniej w podróży poślubnej, gdyż „on” jest jeszcze niezwykle czuły i uprzejmy.

Wenecja w nocy. Drgają światła w kanałach, kołyszą się. Miasto z bajki, tylekroć opisywane, a mimo to piękne-choć złowonne. Choć pokusa jest silna, nie zatrzymam się w Wenecji, nie odwiedzę mych starych przyjaciół - gołębi na placu św. Marka. Żegnaj zalotnico włoska, pociąg do Genui, szwizcząc wjeżdża na tor.

W czasie oczekiwania na pociąg mający mnie zawieźć do Nice zawarłem znajomość z bratem słowianiniem-czechem, jadącym do

zony i synka do Mentony. Szerokie, kochane morze Śródziemne przywitało nas — słowian, słoneczno lazurowym uśmiechem. Przecież znam je dobrze, a zawsze ilekroć na nie patrzę, ogarnia mnie zdumienie nabożne i tkliwość serdeczna.

Okazało się, że mój towarzysz podróży zna prof. Alberti i jego bibliotekę słowiańską. Czas do Mentony miłe zeszedł na rozmowie o literaturze naszej i czeskiej. W Mentonie oczekiwała na peronie młoda, rumiana blondynka, trzymając za rękę małego, opalonego chłopca w białym ubranku. Przywitanie. Pociąg z wolna ruszył naprzód. Brat słowianin machał ku mnie zycziwie ręką. Tworzyli ładną kolorową plamę na tle białego budynku stacyjnego.

Jeszcze parę tuneli, parę cudownych widoków i... zmęczony drogą wyładowuję się powoli na peron w Nice. Nie przywitała mnie uśmiechem — deszcz lał jak z cebra. Na parkanach zwisały smętnie płachty afiszów — wspomnienie niedawnych wyborów.

Moja dawna gospodyni na Lanterne przyjęła mnie z miłym uśmiechem z miejsca oznajmiając, że Polacy na konkursach hippicznych trzymali się dobrze, tylko konie były pomęczone.

Dopiero po paru dniach zorientowałem się w charakterze tej masy cudzoziemców, która przewija się przez Nice. Ludzie ci, przeważnie w tym roku, to w większości międzynarodówka hofoty, która niewiedomo na czem i niewiadomo jak — zarobiła i chce się zabawić. Fruwają więc tysiącfrankówki w barach, kasynach, restauracjach. Kelnerzy, pamiętający lepsze czasy, śmieją się w kułak z gości, zamawiających „koktaje” bez nazwy „aby dobre” i jedzących rybę nożem — ale szybko i składnie wypukują korki z butelek szampana i zginają się w niskim ukłonie, bo taki międzynarodowy cham ma pieniądze, a pieniądze gładzi nierówności, zacierają, szlifują, nadają koronnym osłom pałek do korony, tchórzom — order, lajdakom — tytuły.

Minęły dawne czasy! Gdzież podział się kucharz, popełniający samobójstwo z powodu braku jednego z dań? Gdzież mylord, który broniąc się przed rekinem wydobyl nóż, lecz w ostatniej chwili wierny tradycji, nóż wypuścił z ręki i krzyknął: „Niel ryby nożem nie dotknę!” — zginął. O tem wszystkim i o pozostałych niedokładnościach świata tego można zapomnieć i „przebaczyć nawet swoim krewnym”, jak pisał Oscar Wilde — jadąc późnym wieczorem na platformie zwykłego tramwaju za miasto. Każdy najłżejszy podmuch wiatru przynosi z sobą świeżą, balsamiczną woń goździków i róż.

A w Monte-Carlo cała międzynarodowa socjeta zgrywa się do nitki, mając do wyboru szesnaście stołów gry.

„Faites vos jeux, messieurs!” Kabalistyczne zaklęcie, które każe grającym przedkładać, najprędzej wyładowując kieszenie i stawiając na czarne, czerwone, rząd, szereg, numer i wpatrywać się obłąkanymi oczami w małą kulkę rulety, która kręci się, kręci... A potem grabki krupjera skrzętnie i zręcznie ściągają stawkę niejednokrotnie wraz z honorem lub życiem gracza.

Gdy siedziałem w barze obok sali gry, doleciał mnie dźwięk naszej mowy, odwróciłem się.

— Ty mi idziesz mówić? Ja ostatnie dziesięć dolarów zmieniłem!

— Słuchaj Kon, ty się nie martw! Ja ci pożyczę sto dolarów na pięćdziesiąt procent.

Jakżeby bez Kona obyło się kasyno w Monte.

Przy wyjściu z sali gry miałem przykrą chwilę. Pewna młoda, elegancka pani podeszła ku mnie i mówiąc po polsku, że osmielił ją krzyż walecznych w mojej butonierce, poprosiła... o sto franków na grę. Przykre spotkanie z rodaczką na obcym gruncie. Ludzie tej kategorii żyją tylko grą i opętani przez nią nie liczą się z mizem. Są to chorzy, których należałoby pielegnować i leczyć.

Wyszedłszy na plac przed kasynem, spojrzełem raz jeszcze na oświetlone krzesiście podwoje. Płynęła przez nie czarna, krzykliwa fala ludzi, pragnących wygrać. Boczniemi drzwiami wychodzili powoli, bardzo powoli, przygarbieni, spoceni, o jarzących się oczach — przegrani i wsiakali w ciemne aleje parku.

C'est la vie! — jak mówią Francuzi.

Georgea.

Nice w maju.

Przemysł Wełniany

S. Barciński

i S-ka

Sp. Akc.

BILANS

na dzień 1 stycznia 1928 r.

zatwierdzony przez Walne Zgromadzenie akcjonariuszów.

Stan czynny

	Zł. i gr.
Grunta	1,190,000.—
Budynki	1,930,000.—
Maszyny i urządzenia techniczne	2,074,988.65
Centrala Elektryczna (instalacja 1926 r.)	1,243,996.21
Gotowizna w kasie	16,601.22
Papiery wartościowe	78,253.22
Weksle w portfelu	208,242.23
Surowce i przędza	1,839,352.09
Węgiel, materiały chem. i techn.	112,570.82
Towary	2,522,177.65
Dłużnicy	1,036,472.05
Saldo rachunków rublowych przedw.	1.—
Należności za rekwizycje	1.—
	12,222,656.14
Akcepty w depozycie	316,932.44
	12,539,588.58

Stan bierny

	Zł. i gr.
Kapitał akcyjny	4,500,000.—
Kapitał zapasowy	450,256.40
Kapitał amortyzacyjny	629,133.43
Długi przedwojenne:	
w otwartym rachunku	105,807.80
w akceptach	47,322.23
	153,130.03
Wierzyciele	4,907,461.87
Akcepty	1,982,674.41
	12,222,656.14
Akcepty w depozycie	316,932.44
	12,539,588.58

Rachunek Strat i Zysków
na dzień 31 grudnia 1927 r.

Wydatki

	Zł. i gr.
Administracja, koszty handlowe, podatki	1,134,168.58
Procenty i różnice kursowe	524,114.22
Straty na dłużnikach	49,148.74
Zysk	242,029.36
	1,949,460.90

Dochody

	Zł. i gr.
Zysk brutto na fabrykacji	1,949,460.90
	1,949,460.90

Wiśniowa Góra

Letnisko trzy lub dwupokojowe z kuchnią, umeblowane, wyłączne korzystanie z parku i ogrodu.

Wiadomość;

Andrzeja Nr. 5, czytelnia.

Do akt. Nr. 570 i 569. 1928 r.

Ogłoszenie.

Komornik przy Sądzie Okręgowym w Łodzi S. Zajkowski, zam. w Łodzi przy ul. Traugutta Nr. 10, na zasadzie art. 1030 U.P.C. ogłasza, że w dn. 14 i 18 czerwca 1928 r. od godziny 10-ej rano w Łodzi przy ulicy Sienkiewicza pod Nr. 39 odbędzie się sprzedaż z przetargu publicznego ruchomości należących do Mordki Pechmana i składających się z mebli, oszacowanych na sumę zł. 2.020.—.

Łódź, dnia 29 maja 1928 r.

Komornik

(—) ZAJKOWSKI



Praktyczny i oszczędny Szefer
pozyskał zadowolenie

wszystkich pracowników i maksymalną wydajność pracy przy minimalnych kosztach przez zastosowanie:

- Do księgowości „Remingtona Rachującego”**
Maszyna do pisania — mechanicznie dodaje, odejmuje pionowo i poziomo.
- Do Wydziału Rachuby — „Daltona” amerykańskiej 10-cio**
klawiszowej piszącej maszyny. „DALTON” dodaje, odejmuje, mnoży i dzieli na dużych arkuszach lub wąskich paskach papieru. Kilkadziesiąt różnych modeli.
- Do Wydziału Kalkulacji — arytmometrów świątowej sławy „NOVA BRUNSWIGA”,** kilkanaście różnych modeli. „BRUNSWIGA” mnoży, dzieli, dodaje i odejmuje. Szwajcarskich maszyn „MADAS” i „MILJONER”, elektryczne maszyny automatycznie dzielą i mnożą.
- Do Wydziału Sprzedaży — „Remington model 21”**
Faktury i inne zestawienia mechanicznie zlicza i odejmuje.

Przedsiębiorstwo było asekurowane od ognia i kradzieży, a obecnie przez zastosowanie maszyn rachujących zabezpieczyło się od błędów w rachunkowości.

Prosimy żądać demonstracji maszyn i szczegółowych opisów.

Tow. Przem. Handl. BLOCK-BRUN, S. A., ŁÓDŹ
ul. Piotrkowska Nr. 125. Telefon Nr. 1-04.

KARPATY SPRZEDAŻ PRODUKTÓW NAFTOWYCH
SPÓŁKA Z OGR. POR.

RAFINERIE GALICYJSKIEGO OLEJU KARPACIEGO-NAFTOWEGO T.A.

BENZOLINA

ODDZIAŁ w ŁODZI ul. 6go SIERPNIĄ 7. Tel. 14-70 i 48-74.

zyskały nagrody najwyższe na ostatnim targu międzynarodowym — I na II targu Pań w Polsce

KOMPLETNE URZĄDZENIA BIUROWE

Pabjanickiej Fabryki Mebli Biurowych o gwarantowanej jakości poleca po cenach fabrycznych

Przejazd 4 **JÓZEF LEŻON** Tel. 2-23.

WYDZIAŁ REJESTRU HANDLOWEGO
SĄDU OKRĘGOWEGO w ŁODZI

Do Rejestru Handlowego Sądu Okręgowego w Łodzi Działu A i B wniesiono następujące wpisy:

Nr. 12076/A. „Wolf Śmietański”. Sklep rzeźniczy. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 r. Zgierz, ulica Piłsudskiego 8. Właściciel Wolf Śmietański, zam. w Zgierzu przy ulicy Piłsudskiego 3. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 12083/A. „Michał Glazer”. Ręczna cegielnia. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 roku. Radogósz, ulica Żabieniecka. Właściciel Michał Glazer, zamieszkały w Łodzi, przy ulicy Zielonej 5. Na mocy aktu

intercyzy, zeznanego w dniu 30 marca 1906 r. N. R. 1257 przed Feliksem Rybarskim, Notariuszem w Łodzi, między Michałem Glazerem a jego żoną Idesą została ustalona wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 12067/A. „Restechnika”. właściciele D. Feldbrill i L. Schwarc. Celem spółki jest prowadzenie handlu i reprezentowanie firm handlowych. Firma istnieje od 21 stycznia 1928 roku. Łódź, ulica Cegielniana 47. Właściciele Dawid Feldbrill, zamieszkały w Łodzi przy ulicy Piotrkowskiej 167 i Ignacy Schwarcz, zamieszkały w Łodzi przy ulicy Cegielnianej 57. Spół-

ka firmowa. Czas trwania spółki określony do 1 lutego 1932 r. z automatycznym przedłużaniem z roku na rok. Zarząd należy do Ignacego Schwarcza, który podpisuje pod stemplem firmy: weksle, żyra, plenipotencje, prokury, umowy, czeki, przekazy i wszelką korespondencję. Na mocy aktu, zeznanego 20 września 1921 roku N. R. 1300 przed Ludwikiem Ulejskim, Notariuszem we Włocławku między Ignacem Schwarcem a jego żoną Rozalją z Rajchów została ustalona wyłączność majątku i wspólność dorobku. Dawid Feldbrill intercyzy nie zawarł.

Nr. 12057/A. „Łódzka Fabryka Radjotechniczna, Wytwórnia Radjosprzętu, wł. Aron Reimitz”. Firma istnieje od 10 lutego 1928 roku. Łódź, ulica Kilińskiego 134. Właściciel Aron Reimitz, zamieszkały w Łodzi przy ulicy Żeromskiego 85. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 12068/A. „Chaim Solnik”. Apretura Zagranicznych surowców włókienniczych. Firma istnieje od 1919 roku. Łódź, ulica Kilińskiego Nr. 60. Właściciel Chaim Solnik, zam. w Łodzi przy ulicy Kilińskiego Nr. 60. Na mocy aktu intercyzy, zeznanego 21 grudnia 1899 roku N. R. 7719 przed Władysławem Jonszerem, Notariuszem w Łodzi, między Chaimem Solnikiem, a jego żoną Marjem Łają z Szelmerów, została ustalona wyłączność majątku i wspólność dorobku.

N. 836/B. „Ars-film”. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Celem spółki jest prowadzenie wytwórni obrazów filmowych. Siedzibą firmy jest Łódź, ulica Przejazd Nr. 40. Firma istnieje od 5 kwietnia 1928 r. Kapitał zakładowy spółki całkowicie wpłacony, wynosi 10.000 złotych, podzielonych na 100 udziałów po 100 złotych każdy. Zarząd stanowią: Arseniusz Brunow i Eugeniusz Arciuk, zamieszkały w Łodzi przy ulicy Przejazd Nr. 40. Każdy z członków ma prawo podpisywać w imieniu firmy pod jej stemplem wszelkiego rodzaju zobowiązania, weksle, żyra, przekazy, czeki i wszelkie dokumenty, załatwiać wszelkie interesy spółki, pobierać i inkasować sumy pieniężne, wpływy i należności, podnosić pieniądze z instytucji państwowych i komunalnych oraz kredytowych i z urzędów pocztowych, wydatkować sumy pieniężne, otrzymywać korespondencję poleconą, wartościową i inną, prowadzić we wszystkich instancjach sądowych wszelkiego rodzaju sprawy. Wydawanie pełnomocnictw należy do obywateli członków zarządu. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Czas trwania spółki nieokreślony. Akt zawarcia spółki został sporządzony 5 kwietnia 1928 r. N. R. 6787 przez Ludwika Kahla, Notariusza w Łodzi. Mikołajowi i Natalii Arciuk, zam. w Łodzi przy ulicy Przejazd N. 40 i Eugeniuszowi Górskiemu, zam. w Łodzi przy ulicy Przejazd N. 77, udzielono prokury z prawem łącznego we dwóch podpisywania firmy „per procura”.

N. 837/B. „Biurowo Ekspedycyjne, Jakób Wald, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością”. Celem spółki jest przewóz i ekspedycja towarów. Siedzibą firmy jest Łódź, ulica Piotrkowska 33. Firma istnieje od 27 kwietnia 1927 roku. Kapitał zakładowy spółki całkowicie wpłacony, wynosi 6000 złotych, podzielonych na 50 udziałów po 120 złotych każdy. Zarząd stanowią: Jakób Wald, zam. w Łodzi, przy ulicy Piotrkowskiej N. 33 i Jakób Braun, zam. w Łodzi przy ulicy Al. 1 Maja N. 59. Każdy z zarządców ma prawo zawierać wszelkiego rodzaju umowy i zobowiązania, podpisywać pod stemplem firmy weksle, cesje na wekslach, czeki, przekazy, podnosić wszelkie sumy z instytucji finansowych, podpisywać i odbierać korespondencję zwykłą, poleconą i wartościową, odbierać paczki pocztowe i transporty kolejowe, oraz reprezentować firmę w instytucjach państwowych i komunalnych i odbierać pełnomocnictw sądowych. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Czas trwania spółki określony do 31 grudnia 1927 roku z automatycznym przedłużaniem z roku na rok. Akt zawarcia spółki został sporządzony 26 kwietnia 1927 r. N. R. 1463 przez Władysława Jeżewskiego, Notariusza w Łodzi.

N. 832/B. „Józef Kutuba. Przedstawicielstwo na Województwo Łódzkie Mieszczańskiego Browaru „Prazdrój”. (Urguell B. B.) w Pilźnie—Czechosłowacja, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością”. Łódź, ulica Kilińskiego N. 121. Firma istnieje od 14 marca 1928 roku. Kapitał zakładowy spółki całkowicie wpłacony, wynosi 10.000 złotych, podzielonych na 100 udziałów po 100 złotych każdy. Zarząd stanowią: Józef Kutuba, zamieszkały w Łodzi przy ulicy Gdańskiej N. 91 i Otton Wiłhan, zamieszkały w Łodzi przy ulicy Kilińskiego N. 121. Weksle, akcepty, indosy, kontrakty, umowy, pełnomocnictwa, czeki i wszelkie wogóle zobowiązania podpisują obaj zarządcy pod stemplem firmy. Natomiast podpisywać wszelką korespondencję, rachunki, pokwitowania i wszelkie dokumenty, nie mające charakteru zobowiązań dłużnych, otrzymywać wszelkie należne spółce sumy i inny majątek — korespondencje, pieniądze za przekazami, przesyłki i ładunki, za wyjątkiem jedynie kapitałów, ulokowanych w bankach; reprezentować spółkę u wszelkich władz i prowadzić osobiście wszystkie sprawy sądowe mocen jest każdy z zarządców. — Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Czas trwania spółki określony został do 31 grudnia 1928 r. z automatycznym przedłużaniem z roku na rok. Akt zawarcia spółki został sporządzony 14 marca 1928 roku N. R. 1111 przez Stefana Jarzębskiego, Notariusza w Łodzi.

Nr. 835/B. „M. Kaczorowska i S-ka”. Fabrykacja kartonazów i opakowań. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością z siedzibą w Katowicach. Oddział w Łodzi przy ulicy Kopernika 60. Kapitał zakładowy wynosi 48.000 złotych. Właściciele: Kaczorowska zamężna w Katowicach, Wincenty Mildner, kupiec w Katowicach. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością opiera się na kontrakcie z dnia 13 grudnia 1927 roku. Do zastępowania spółki upoważnionym jest

kierownik samodzielnie o ile spółka będzie miała jednego kierownika. O ile będzie spółka miała więcej kierowników, zastępować będą spółkę w liczbie najmniej dwóch lub jeden kierownik z jednym prokurentem razem.

Nr. 833/B. „Fabryka Przetworów Chemicznych Dyonizy Myśluborski i S-ka, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością”. Firma istnieje od 27 marca 1928 roku. Łódź, ulica Kilińskiego 86. Kapitał zakładowy spółki, całkowicie wpłacony, wynosi 3000 złotych, podzielonych na 30 udziałów po sto złotych każdy. Zarządcą jest Dawid vel Dyonizy Myśluborski, zamieszkały w Łodzi przy ulicy Kilińskiego 86, który podpisuje wszelkiego rodzaju zobowiązania, czeki, przekazy, zryta, umowy, akty urzędowe, weksle, oraz ma prawo odbioru sum należących się spółce jak również innych wartości, korespondencji i towarów, udziela pełnomocnictw adwokatów do prowadzenia spraw spółki. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Czas trwania spółki określony został do 1 lutego 1931 roku z automatycznym przedłużeniem z trzechlecia na trzechlecie. Akt zawarcia spółki został sporządzony 27 marca 1928 r. N. R. 5950 przez Ludwika Kahla, Notariusza w Łodzi.

Nr. 830/B. „Spółtóm”, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Celem spółki jest prowadzenie handlu obuwia, galanterji, bielizny i różnych towarów. Firma istnieje od 15 marca 1928 roku. Siedziba firmy jest Łódź, ulica Piotrkowska 129. Kapitał zakładowy spółki wynosi 20.000 złotych, podzielonych na 100 udziałów po 200 złotych każdy. Zarząd stanowią: Alma Stelzner, zam. w Łodzi przy ulicy Piotrkowskiej 141 i Wacław Perliński, zam. w Łodzi, przy ul. Sienkiewicza 29. Każdy z zarządców ma prawo: samodzielnie podpisywać korespondencję, rachunki, obrotki, pokwitowania i wszelkie dokumenty, nie mające charakteru zobowiązań peniężnych; otrzymywać należne spółce sumy pieniężne za przekazami i inny majątek, przesyłki i ładunki, prowadzić sprawy sądowe i wydawać pełnomocnictwa do prowadzenia tych spraw. Wszelkie zaś inne pełnomocnictwa oraz weksle, akcepty, indosy, czeki, kontrakty, umowy i wszelkie wogóle zobowiązania pieniężne podpisują obaj zarządcy łącznie pod stemplem firmy. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Czas trwania spółki nieograniczony. Akt zawarcia spółki został sporządzony 15 marca 1928 r. N. R. 1112 przez Stefana Jarzębskiego, Notariusza w Łodzi.

Nr. 834/B. „Cegielnia parowa „Marynin” Pfiesterer i Wiatrak, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością”. Firma istnieje od 27 stycznia 1928 roku. Brzeziny, Szosa Kuluszkowska. Kapitał zakładowy spółki wynosi 20.000 złotych, podzielonych na 200 udziałów po 100 złotych każdy i jest całkowicie wpłacony. Zarząd spółki stanowią: Romuald Pfiesterer, zam. w Brzezinach - Marynin i Hirs Wiatrak, zam. w Warszawie, ulica Twarda 55. Weksle, indosy, czeki, umowy, prokury, pełnomocnictwa i wszelkie zobowiązania w imieniu firmy podpisują obaj wspólnicy łącznie pod stemplem firmowym. Natomiast każdy ze wspólników mocen jest samodzielnie w imieniu spółki prowadzić zwykłą, niezawierającą zobowiązań korespondencję, inkasować należności pieniężne, otrzymywać towary, przesyłki, ładunki, przekazy pocztowe, telegraficzne, bankowe i korespondencję nie wyłączając pieniężnej. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Czas trwania spółki określony został do 24 maja 1932 roku. Akt zawarcia spółki sporządzony został 27 stycznia 1928 roku N. R. 271 przed Marjanem Dobrowolskim, Notariuszem w Warszawie.

Nr. 839/B. „Hydraulika” Towarzystwo Handlowo-Budowlane, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością”. Celem spółki jest prowadzenie handlu artykułami budowlanymi wszelkiego rodzaju. Firma istnieje od 18 kwietnia 1928 roku. Łódź, Al. Kościuszki Nr. 39. Kapitał zakładowy spółki całkowicie wpłacony, wynosi 100.000 złotych, podzielonych na 100 udziałów po 1000 złotych każdy. Zarząd stanowią: Henryk Fraenke, zamieszkały w Krakowie przy ulicy Dunajewskiego 2 i Leon Stern, zamieszkały w Nowym Sączu, którzy łącznie, lub jeden z nich łącznie z prokurentem rozporządzają majątkiem spółki i pod stemplem firmy podpisują w imieniu spółki. Dr. Wiktor Stera, zamieszkały w Łodzi przy ulicy Al. Kościuszki Nr. 39 mianowany prokurentem. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Czas trwania spółki nieograniczony. Akt zawarcia spółki został sporządzony 18 kwietnia 1928 r. N. R. 1273 przez Władysława Jezewskiego, Notariusza w Łodzi.

Nr. 838/B. „Zakłady Przemysłowe Jan Krauze w Andropolu, Stacja Andrzejów, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością”. Fabryka kaflí, farb i glazur. Firma istnieje od 20 kwietnia 1928 roku. Kantor firmy mieści się w Łodzi przy ulicy Andrzeja 24. Kapitał zakładowy spółki całkowicie wpłacony, wynosi 120 tysięcy złotych, podzielonych na 100 udziałów po 1200 złotych każdy. Zarząd stanowią: Jan Krauze, Jan-Waldemar Krauze i Oskar Tarłowski. Każdy z członków zarządu ma prawo podpisywać pod stemplem firmowym: weksle, czeki, przekazy, wszelkiego rodzaju dokumenty, podania, pełnomocnictwa adwokackie i korespondencję oraz odbierać: towary, przekazy, przesyłki, listy pieniężne, korespondencję zwykłą, poleconą i wartościową, pieniądze i inne należności jak również dokumenty. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Czas trwania spółki określony na lat 25 z automatycznym przedłużeniem na ta-

kiż okres czasu. Akt zawarcia spółki został sporządzony 20 kwietnia 1928 roku N. R. 1766 przez Jana Krzemienińskiego, Notariusza w Łodzi.

OGŁOSZENIE Nr. 14.

Nr. 309/A. „Ch. Goldman” z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska 42. Siedziba firmy obecnie jest Łódź, ulica Cegielniana 30.

Nr. 218/A. „Józef Hirsberg” z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska 24. Prokura- udzielona Mojżeszowi Rochwerggerowi została cofnięta.

Nr. 8113/A. „Bracia Berman” z siedzibą w Łodzi, Południowa 12. Firma obecnie brzmi: „Samuel Berman”. Łódź, ulica Piotrkowska 36. Właścicielem przedsiębiorstwa obecnie jest Samuel Berman, Łódź, ulica Cegielniana 51. Na mocy aktu intercyzy, zeznanego w dniu 26 lutego 1926 roku N. R. 611 przed Kazimierzem Rossmannem, Notariuszem w Łodzi, między Samuelem Bermanem, a jego żoną Frymetą z Kurców została ustalona wyłączność majątku i wspólność dorobku. Fiszel Berman ze spółki wystąpił w roku 1926.

Nr. 745/A. „Adolf Horak” z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska 149. Firma obecnie brzmi: „Zakłady Włókiennicze, Adolf Horak, Łódź, ulica Piotrkowska Nr. 87.

Nr. 10443/A. „Leopold Nikel i S-ka” z siedzibą w Łodzi, Pańska 36. Firma obecnie brzmi: „Artur Engel i S-ka”. Do spółki wstąpił Paweł-Leopold Janowski, zam. w Łodzi przy ulicy Radwańskiej 39. Leopold Nikel ze spółki wystąpił i wszystkie swoje prawa do spółki oraz swój udział ustąpił na rzecz Pawła-Leopolda Janowskiego.

Nr. 1412/A. „Henryk Wyss i S-ka” z siedzibą w Łodzi, Miłsza 17. Firma obecnie brzmi: „Fabryka Szpulek i Wyrobów Drzewnych — Henryk Wyss i S-ka, Łódź, Kopernika 17”. Spadkobiercami Henryka Wyssa są: Emilja Wyss — wdowa, Wanda z Wyssów Haegeln, Amalja z Wyssów — Busch, wdowa, Frieda z Wyssów — Thiele, Emil Wyss, Bracia Rothe: Erwin, Harry i Artur.

Nr. 7545/A. „Moszek-Majer Gertler” z siedzibą w Łodzi, Północna 19. Na mocy wyroku Sądu Okręgowego, Wydział Handlowy w Łodzi z dnia 10 marca 1928 r. Moszkowi - Majerowi Gertlerowi ogłoszona została upadłość i kuratorem upadłości mianowano apl. adw. Stefana Łaskiego.

Nr. 10126/A. „Artur Eger i S-ka” z siedzibą w Łodzi, Sienkiewicza 59. Firma obecnie brzmi: „Artur Eger”. Wiktor Bek ze spółki wystąpił i wszystkie swoje prawa scedował na rzecz Artura Egera. Na mocy aktu zeznanego w dniu 20 grudnia 1927 roku N. R. 11550 przed Stefanem Jarzębskim, Notariuszem w Łodzi, Walli Egerowa pokwitowała właściciela firmy z odbioru posiadanego z mocy intercyzy majątku.



Prowadzą nas

POWIEŚCI HISTORYCZNE
J. I. KRASZEWSKIEGO

obejmując całe dzieje Polski we wspaniałym cyklu romansów historycznych, powieści obyczajowych i pamiętników awanturniczych. Czytając je przeżyjemy wszystkie najważniejsze chwile naszej historii: budujemy potęgę Bolesławów, zbawiamy Polskę z Lokietkiem i organizujemy ją z Kazimierzem Wielkim; rozum i energia Jagiellonów wprowadzają w podziw a śmierć Zygmunta Augusta napawa głębokim smutkiem; idziemy wprawdzie z Batorym pod Psków, zbawiamy pod Wiedniem chrześcijaństwo, ale rozkład Państwa już się zaczyna; szukamy zapomnienia w uciechach epoki Saskiej i stacujemy się w przepaść, z której ani cud 3 Maja, ani bohaterstwo Kościuszki wydobyć kraju nie mogą: rozbiory i powstania — ucisk, tułaczka, Sybir. Wolny obywatel Polski Odrodzonej nie zapomina o swoich dziejach, chce znać obyczaje przodków, ich kłopoty i radości; żąda więc dobrej powieści historycznej; dobrej to znaczy prawdziwej i zajmującej. Dlatego Zakłady Wydawnicze M. Arcta w Warszawie, wybrały z obfitej spuścizny po J. I. Kraszewskim

30 POWIEŚCI HISTORYCZNYCH

i wydaje je w 80 tomach na dogodnych warunkach, dostępnych dosłownie dla każdego. Kto zamówi od razu cały cykl w prenumeracie. Jeżeli to zrobi przed 1 lipca, to zapłaci za całość zł. 64.— w ciągu 2 lat, czyli

TYLKO 80 GROSZY ZA TOM

wydrukowany starannie na dobrym papierze, w kolorowej okładce. W sprzedaży pojedynczej każdy tom będzie kosztował zł. 1.40 (a więc 80 tomów 112.— zł.). Najlepiej więc opłaci się zamówić cały cykl 80 tomów zaraz, tembardziej, że nie trzeba płacić od razu ale w 8 ratach kwartalnych po zł. 8.—

Pierwszą ratę należy wpłacić na konto P. K. O. 196 przy zamówieniu następnie na 15 dni przed początkiem każdego kwartału.

PRZEDPŁATĘ PRZYJMUJE KSIĘGARNIA M. ARCTA
Warszawa, Nowy-Świat 35. Konto P. K. O. Nr. 196.

BILANS KOLEI ELEKTRYCZNEJ ŁÓDZKIEJ, Sp. Akc.
z dnia 31-go grudnia 1927 roku

MAJĄTEK	Zł. gr.	ŹRÓDŁO	Zł. gr.
Placę	365,320.65	Kapitał akcyjny	9,450,000.—
Budynki	1,160,500.92	Kapitał amortyzacyjny	720,850.—
Tory	4,237,798.18	Kapitał zasobowy	130,142.63
Sieć kabli podziemnych i przewodników jeznych	1,553,135.50	Fundusz dyspozycyjny	45,000.—
Tabor	3,891,647.54	Fundusz odnowienia	45,000.—
Maszyny	1,147,402.80	Fundusz budowlany	276,000.—
Urządzenia wodociągowe	89,736.03	Dywidenda niepodniesiona	47,201.09
Urządzenia warsztatowe	609,066.13	Depozyt członków Zarządu zg. z § 18 Statutu	42,000.—
Inwentarz	189,144.34	Kaucje służby ruchu	2,461.11
Zaprząg, pojazdy i samochody	51,465.62	Wierzyciele	3,387,960.74
Magazyn	1,251,069.81	Sumy przechodnie	1,387.27
Kasa	38,525.83	Pozostałość zysku z roku 1926	Zł. 409.75
Papiery wartościowe	23,330.—	Zysk za rok 1927	2,602,235.20
Dłużnicy	2,028,732.19		2,602,644.95
Akcje w depozycie członków Zarządu zg. z § 18 Statutu	42,000.—		
Sumy przechodnie	71,772.25		
	16,750,647.79		16,750,647.79

Rachunek zysków i strat z dnia 31 grudnia 1927 roku.

WINIEN	Zł. gr.	MA	Zł. gr.
Wydatki ogółem	8,147,920.50	Pozostałość zysku z roku 1926	409.75
Zysk za rok 1927 wraz z pozostałością z 1926 roku	2,602,644.95	Wpływy ogółem	10,750,155.70
	10,750,565.45		10,750,565.45

Powyższy bilans oraz rachunek zysków i strat zatwierdziło Walne Zgromadzenie Akcjonariuszów w dniu 21 maja 1928 roku, na którym to Zgromadzeniu uchwalono rozdzielić zysk jak następuje:

na kapitał amortyzacyjny (§ 26 umowy koncesyjnej)	Zł. 436,000.—
na kapitał zasobowy (§ 56 Statutu)	105,000.—
na fundusz odnowienia (§ 21 umowy koncesyjnej)	65,000.—
na fundusz dyspozycyjny (§ 22 umowy koncesyjnej)	65,000.—
na wynagrodzenie Zarządu (§ 56 Statutu)	64,000.—
na podatek dochodowy	570,000.—
na dywidendę od 13500 akcji po Zł. 48 — za sztukę	648,000.—
na 25 proc. opłatę koncesyjną od zysku przewyższającego 6 proc. dywidendę (§ 18 umowy koncesyjnej)	182,500.—
rezerva do dyspozycji Walnego Zgromadzenia, które uchwalił przerachowanie bilansu na podstawie Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 22 marca 1928 r. o przerachowaniu bilansów (D. U. R. P. Nr. 38/28 poz. 352) na uzupełnienie kapitałów własnych w przerachowanym bilansie	466,500.—
do przeniesienia na rok 1928	644.95
razem jak wyżej	Zł. 2,602,644.95

Dywidenda wynosi Zł. 48.— od każdej akcji wartości nominalnej Zł. 700, i wypłacana będzie: a) przez Bank Handlowy w Łodzi, Al. Kościuszki 15 na podstawie trzeciego kuponu nowych akcji złotych i b) przez Kasę Kolei Elektrycznej Łódzkiej Sp. Akc. w Łodzi, ul. Tramwajowa 6, na podstawie świadectw ułamkowych w odpowiednim stosunku.

Celem otrzymania dywidendy na podstawie świadectw ułamkowych PP. Akcjonariusze powinni przedstawić posiadane świadectwa oryginalne z wyszczególnieniem ich numerów w odpowiednich deklaracjach.

Zarazem zaznacza się, że stosownie do § 50 Statutu dywidenda, niepodniesiona w ciągu 5 lat, przechodzi na własność Spółki.

Redakcja i Administracja w Łodzi
ul. Piotrkowska Nr. 85. Telefon Nr. 45-50

Ceny ogłoszeń: Strona ogłoszeniowa dzieli się na 4 szpalty. Ogłoszenia zwyczajne 25 groszy za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. Ogłoszenia w takcie 40 groszy za milimetr wysokości w jednej szpalcie. Drobne 10 groszy za wyraz.

Redaktor i wydawca: Paweł Zielina.

Odbito w Drukarni Państwowej w Łodzi, Piotrkowska 85. 21928